MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 54. WARSZAWA, 22 LISTOPADA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

NUMERUS NULLUS

WYPADKI, które w ostatnich tygodniach na terenie wszechnic polskich się rozgrywają, wydobyły znowu nawierzch najcięższą sprawę, jaką Polska u siebie musi rozstrzygnąć, — sprawę żydowską. Wydobyły ją w stanie większego zaognienia, niż była dotychczas. I to stopniowanie we wzroście gorączki będzie szło nadal, dopóki społeczeństwo polskie nie porzuci swojej bierności w tem zagadnieniu i swojej uległości. Sprawa żydowska bowiem nie należy do zwykłych trudności życiowych, ale jest utajoną i, co więcej, z umysłu przez żydów i pewne sfery polskie tajoną, a groźną chorobą, w organizmie polskim zaległą, która bezustannie się rozrasta i przy każdej sposobności w stanie coraz bardziej rozjątrzonym wybucha.

Nie mam zamiaru omawiać tu całości programu polskiego w sprawie żydowskiej, (który oby powstał jaknajprędzej!), ale każdemu człowiekowi myślącemu narzucają się na myśl o tem dwie główne a niewątpliwe takiego programu wytyczne. Obie zastosowane są ściśle do dwóch naalogicznych wytycznych programu żydowskiego.

Naprzód jest rzeczą widoczną, że dziewięćdziesiąt na sto wysiłków w swej akcji żydzi skierowują na to, aby przeniknąć do społeczeństwa polskiego i w samem jego wnętrzu się usadowić. Wojna ich zzewnątrz przeciw Polakom prowadzona nie dałaby żadnych wyników, więc traktują ją tylko jako cząstkę pomocniczą. Z tego wypływa wniosek, że na czele programu polskiego musi stać punkt całkowitego usunięcia żydów z łona społeczeństwa polskiego. Dopiero po osiągnięciu tego celu pierwszego można będzie dążyć do dalszych. Pierwszy ten, naczelny narazie, punkt programu polskiego w sprawie żydowskiej najsłuszniej winien przybrać nazwę i hasło: „*numerus nullus*". Nietylko w życiu akademickiem, ale w każdej bez wyjątku dziedzinie żydzi muszą być całkowicie we wnętrzu społeczeństwa polskiego nieobecni, a to tak samo, jak są nieobecni Polacy we wnętrzu społeczeńswa żydowskiego. Z punktu widzenia najprostszej sprawiedliwości jest to dążenie ze wszech miar słuszne, na zasadzie wzajemności oparte.

Po drugie zaś, rzeczą również dla każdego widoczną jest główna zasada taktyczna żydów, która polega na podziale i rozróżnieniu odcinków życia, tą walk ogarniętych, a to w ten sposób, że na każeym odcinku, jakkolwiek pod jedną komendą, prowadzą żydzi osobne a często odrębne działania obsadzając go żydami odpowiedniego zawodu i odpowiednich uzdolnień, a w części i „tresowanemi małpami"[1]), z pośród Polaków wyławianemi (masonerja i lewica). Z tego wynika, że i polski program w swojej części organizacyjnej musi oprzeć się na zasadzie odpowiedniego podziału działań Jest to, zresztą, podstawowa zasada każdej taktyki. Rzemiosło powinno prowadzić daną walkę na terenie rzemiosła, a nie gdzieindziej, adwokatura — na terenie adwokatury, kupiectwo — na terenie kupiectwa, i tak dalej. Ta sama zasada taktyczna obowiązuje życie akademickie, a nieco szerzej — całe szkolnictwo polskie. A wszędzie hasłem naczelnem i pierwszym punktem programu powinien być *numerus nullus*. Argument zaś moralny wszędzie jest ten sam: wzajemność. W kupiectwie, rzemiośle, szkolnictwie i t. d. żydowskiem Polacy są nieobecni. Taka sama nieobecność żydów ma być zastosowana w kupiectwie, rzemiośle, szkolnictwie i t. d. — polskiem. Polacy nie chcą przywilejów, chcą tylko zrównania siebie w prawach swoich — z żydami.

---

[1]) Stosuję tu świetne określenie z powieści „Dziedzictwo" K. Wybranowskiego.

W oparciu o te dwie słuszne wytyczne zacieśnijmy teraz uwagę naszą do granic życia szkolnego. Polska młodzież akademicka zrozumiała i głęboko to odczuła, że żydzi w szkołach polskich posiadają prawa nie na wzajemności oparte, ale wyjątkowe, czyli — przywileje, a nadomiar korzystają z nich w sposób wyzywający, dokuczliwy i prowokacyjny. Do zrozumienia tego i odczucia żydzi dorzucili młodzieży polskiej lekcję poglądową, brutalną i krwawą, lekcję ponurą, której symbolem stało się zamordowanie przez żydów akademika polskiego ś. p. Wacławskiego w Wilnie. Ta lekcja w las nie pójdzie. Ale nie pójdzie również na ulicę, nie rozproszy się w chwilowych, tak, zresztą, zrozumiałych, odruchach manifestacyjnych. Zapadnie ona w dusze młodzieży polskiej i stamtąd wydobędzie czyn, godny narodu kulturalnego. Czynem tym będzie uwolnienie szkół polskich od obecności w nich uczniów i nauczycieli — żydów. Byłoby to dowodem ostatecznej słabości i upodlenia narodu polskiego, gdyby teraz właśnie akademicka młodzież polska nie podjęła wielkiej, spokojnej, poważnej i legalnej akcji na rzecz oczyszczenia szkół swoich z żywiołów wrogich Polsce, polskości i kulturze aryjskiej.

Obrzucana przez prasę żydowską i polsko masońską stekiem łobuzerskich wyzwisk, kłamstw i oszczerstw, polska młodzież akademicka odpowie na nie *suaviter in modo, fortiter in re* działaniem rozumnem, legalnem i wytrwałem, bez spoczynku do zwycięstwa doprowadzonem. Posiada ona w tym kierunku pełną słuszność za sobą, prawo i środki działania, ostateczną wygranę zapewniające. Posiada, nadto, a w dalszym ciągu takiego, jak mówię, działania tembardziej i tem szerzej posiądzie poparcie całego społeczeństwa polskiego, zarazą niedotkniętego. Mimo tych pewności uprzytomnijmy tu sobie pokrótce trzy okoliczności rzeczowe, które na korzyść tego szlachetnego przedsięwzięcia przemawiają, a dotyczą nietylko terenu szkolnego, ale skutkami swojemi daleko dalej w głąb społeczeństwa i jego kultury sięgają.

Gdyby żydzi w tym celu szkoły polskie kończyli, żeby następnie we własnem, żydowskiem społeczeństwie pracować i tam szeregi warstwy oświeconej pomnażać, sprawa ograniczyłaby się znacznie, bo, mianowicie, do gościny, głównie uniwersyteckiej, jakiej narody narodom użyczają. Mielibyśmy wtedy tylko jedno pytanie, wszędzie w takich razach stawiane: czy gość nie nadużywa polskiej gościnności liczebnie lub moralnie. Wtedy byłby może na miejscu *numerus clausus*, a przynajmniej moglibyśmy nad nim się zastanowić. Ale wiadomo, że sprawa posiada całkiem inne oblicze. Żydzi na to kończą szkoły polskie, żeby z wiedzą zawodową i dyplomami szkolnemi wciskać się do społeczeństwa polskiego i tu, udając Polaków, tworzyć warstwę oświeconą, z imienia i oszukańczo polską, a w istocie — żydowską. Ten cel nie ma nic wspólnego z oświatą, kulturą i cywilizacją, wzajem przez narody sobie udzielaną, ale jest celem czysto politycznym, przeciw narodowi, społeczeństwu i państwu polskiemu wymierzonym. Ta okoliczność zasadniczo sprawę rozstrzyga. A ponieważ droga do szkół wyższych prowadzi poprzez szkoły niższe i średnie, zatem *numerus nullus* musi być rozciągnięty na wszystkie szkoły polskie.

Rzecz to jasna, że narastanie w narodzie polskim warstwy oświeconej, złożonej z ludzi obcej rasy i wrogiego narodu, stanowi rodzaj powolnego samobójstwa narodu polskiego. Liczebność żydów w Polsce, ich bogactwo materjalne, ich zwartość wyłącznie w miastach, a wreszcie ich ścisły związek z żydostwem całego świata, nadają temu samobójstwu polskiemu tempo wcale żywe, wobec czego słowo „powolność" przybiera znaczenie względne. W gruncie rzeczy, w stosunku do życia zbiorowego, przebieg samobójstwa jest szybki, a w miarę czasu szybkość ta ciągle się powiększa. Już dzisiaj cudzoziemiec, któryby nieco uważniej, niż turysta, przyjrzał się publicznemu życiu polskiemu, wszystkim jego urzędom, nauce, literaturze, dziennikarstwu, sztukom, szkolnictwu, towarzystwom zawodowym, kulturalnym i t. d., musiałby powziąć nie dającą się rozwiązać wątpliwość, w jakiem państwie się znajduje — w polskiem, czy w żydowskiem? W razie dalszego trwania dotychczasowego biegu spraw, za lat kilka i ta wątpliwość zniknie.

Otóż źródłem, które społeczeństwu polskiemu dostarcza tego zalewu inteligencji żydowskiej, są szkoły polskie. Niewątpliwie, tkwi w tem potworność, którą nareszcie świeże oczy młodzieży polskiej dojrzały, a dojrzawszy, wzbudziły w jej sercach wstyd i przerażenie. To był bezpośredni powód wstrząsu, któremu, nadomiar, żydzi wystąpieniami swojemi obficie krwawych barw dodali. Wstrząs minie, ale wstyd i przerażenie zostaną. Wstyd zaś i przerażenie jednym tylko czynem dadzą się opanować i okupić: zatamowaniem źródła powszechnej zarazy żydowskiej. *Numerus nullus* na terenie życia szkolnego urasta przeto do znaczenia zbawczego dla całego społeczeństwa i państwa polskiego. Podejmując to hasło, jako naczelny punkt programu polskiego w sprawie żydowskiej, polska młodzież akademicka dźwignie sztandar oswobodzenia Polski, sama je w swoich ramach rozpocznie, godnością postawy swojej pociągnie za sobą rzesze rodziców, którzy tę samą akcję dla dobra małoletnich dzieci swoich przedsięwezmą, a wreszcie porwie za sobą całe społeczeństwo polskie.

Drugą ważną na rzecz tej akcji okolicznością jest bezpośredni wpływ moralny, jaki żydzi (uczniowie i nauczyciele) na swoich kolegów i na całą szkołę wywierają. Powszechnie znane jest zjawisko, że dzieci żydowskie, jako dzieci rasy starczej i niższej, odznaczają się starczością, zepsuciem i brzydkim sprytem życiowym. Obecność ich w szkole wpływa na młodzież polską rozkładowo, co szczególnie widoczne jest w szkołach początkowych i średnich. Wiadomo przytem, że wpływ zła w świecie dziecięcym posiada stokroć większą siłę od dobra. Wystarczy jeden wynaturzony oszuścik w szkole, ażeby zepsuć setkę dzieci normalnych. Stąd też nawet najbardziej ograniczony względem żydów *numerus clausus* w szkole polskiej nie wystarcza. Szkoła nie jest zajazdem. Oprócz wykształcenia umysłowego, jakiego dzieciom udziela, ma ona dawać lub uzupełniać wychowanie, sięga zatem do duszy dziecka, do jego charakteru i do wartości moralnych. Z tych przeto względów w szkole polskiej, która jest dalszym ciągiem domu rodzicielskiego, obecność żyda — nauczyciela lub ucznia staje się niedopuszczalna. W dzisiejszym swoim stanie wstępnym szkolnictwo polskie posiada wiele braków i wad, ale wszystkie one maleją i nikną wobec tej na szkole polskiej plamy czarnej, jaką jest obecność w niej żydostwa, czyli atmosfery gnilnej, a podstępnej i zaraźliwej.

Atmosfera taka sama przez się jest w szkole wysoce szkodliwa, a do dusz dzieci i młodzieży polskiej przenika skrycie w mnóstwie różnorodnych objawów, mniej lub bardziej złośliwych. Kto nie miał sposobności naocznego przestudjowania wpływów żydowstwa na szkołę polską, ten może o tem nabrać wyobrażenia z młodzieńczych poezyj kryptożydowskich, któremi ostatnie trzynastolecie hojnie polską literaturę obdarzyło. Wszystkie owe Tuwimy, Waty, Sterny, Wittliny i t. d., cały ołsawionej pamięci „Skamander" i wszystkie dokoła niego „katarynki" Peiperów i Pomperów — zaczynały jako młodzież w wieku mniej więcej lat dwudziestu. Poezja młodzieży — to pierwsze owoce duszy dziecka, które przed chwilą do młodzieńczości dojrzało. Proszę przeczytać wszystkie młodzieńcze poezje żydów po polsku piszących. Czegoś podobnego nie znaleźlibyśmy nawet u narodu pawjanów, gdyby one pisać umiały. Cynizm, trywjalność, brud moralny, grzebanie się w ohydach, ordynarność, chamstwo, koprofagja duchowa, wszelkie zboczenia płciowe, wynaturzenia, pół obłędy, płaskość i niskość tonu, bezczelność, zgnilizna charakteru, prowokacja, komedjanctwo cyrkowe, śliniąca się starczość — ote cechy główne młodzieńczej poezji żydów. A jest to przecie sam wybór, sam kwiat młodzieży żydowskiej! Duma ghetta! Laureaci nagród. Chyba to zatem najpewniejsze z pewnych świadectwo, czem jest dziecko żydowskie! Czy można pozwolić, żeby w takiej atmosferze przebywały i wychowywały się dzieci polskie w szkołach polskich?..

Trzecią wreszcie ważną okolicznością, która się z poprzednią wiąże, a zmusza, również jak tamte, polską młodzież akademicką do zupełnego oczyszczenia z żydów szkolnictwa polskiego, jest istniejący w postaci żydów w szkołach naszych grunt przygotowawczy do wpływów masońskich, socjalistycznych i komunistycznych, przez żydostwo szerzonych. Wiadomo, że młodzież, jako niedoświadczona i zapalna, tembardziej zaś dzieci, najłatwiejszy stanowią materjał do wciągnięcia w stowarzyszenia tajne, w spiski, działania „rewolucyjne" i tym podobne kamorry neapolitańskie, co dla młodzieńczej wyobraźni jest czemś w rodzaju rzeczywistych Rinaldo-Rinaldinich. Tak złośliwe stowarzyszenie tajne, jak masonerja, przez żydów kierowana, w szkołach przedewszystkiem śledzi, wyławia i oplątuje przyszłe swoje ofiary — zwolenników swoich, pachołków, niewolników i „małpy tresowane". Ale nie mogłaby tego czynić, gdyby w szkołach żydów nie było. Ten urodzony handlarz żywym towarem — żyd jest do tego interesu niezbędny i to stanowi jedną z przyczyn, dla których masonerja żąda szkół rasowo mieszanych (ale nie dla ghetta, tylko w społeczeństwie polskiem... naturalnie!). Węzły koleżeństwa szkolnego, przyjaźni, wpływy suggestji w wieku dziecinnym i młodzieńczym są najsilniejsze i sięgają latami daleko poza szkołę. To wiadomo. Tu zatem, w zażydzonych szkołach polskich umieszczony jest poczwarny kokon masoński, którego nici jedwabiste na całe życie wżerają się w dusze wielu Polaków i wnoszą do społeczeństwa polskiego bajkowe, zaiste, z tysiąca i jednej nocy walpurgowych stosunki, których jesteśmy świadkami.

Usunięcie żydów ze szkolnictwa polskiego będzie więc również obcięciem najtęższej łodygi z drzewka masońskiej figi-dusicielki. A że masonerja jest ważną organizacją łącznikową pomiędzy żydostwem a socjalizmem, który ma wpływy w polskiej warstwie robotniczej, więc stąd owe wzruszające *unisono*, jakie z powodu ostatnich wypadków akademickich rozlega się i w żydostwie, i w masonerji, i w socjalizmie, i w komunizmie, i w różnych ligach parchalskich i we wszelkiej niby to skłóconej między sobą lewicy. Okazuje się, że całe to zgromadzenie posiada jeden wspólny odcisk, na który młodzież polska nastąpiła. Doświadczenie jest cenne, a skoro już raz przypadkiem zostało zdobyte, nie wolno go trwonić. Jeżeli *numerus clausus* tak bardzo niepodoba się żydom i lewicy, to trzeba koniecznie wprowadzić *numerus nullus* i wtedy zapanuje spokój w szkolnictwie polskiem, ład, czystość i praca twórcza. Albowiem i to należy dodać na zakończenie, że żydzi, szczególnie w życiu szkół wyższych, stanowią wszędzie czynnik ciągłych niepokojów, zaburzeń, wichrzeń politycznych, prowokacyj narodowych i agitacyj wywrotowych. Stawia to wciąż trudności i przeszkody w rozwoju państwa i społeczeństwa. W ciężkiej, jak teraz, drodze swojej Polska nie ma czasu na poranie się z nieskończonym nigdy szeregiem szkolnych barykad żydowskich. Jeżeli polska młodzież akademicka raz na zawsze usunie je, dobrze zasłuży się państwu swojemu i narodowi.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

KRYTYKA OBYCZAJOWOŚCI WSPÓŁCZESNEJ

(NA MARGINESIE KSIĄŻEK ST. WASYLEWSKIEGO, BOY'A, PERZYŃSKIEGO I KOSSAK-SZCZUCKIEJ)

CZUJNOŚCI naszych najwybitniejszych feljetonistów i powieściopisarzy nie uszły „frapujące" zmiany w obyczajach i formach towarzyskich, które dokonały się po wojnie światowej. Podsłuchali oni przyśpieszony rytm życia, podpatrzyli chytrze różne odchylenia od norm, obowiązujących dawniej, a wreszcie wypisali niedyskretnie całą masę spostrzeżeń trafnych a ujemnych, bystrych i złośliwych, przytem dość często powierzchownych i jednostronnych. Stwierdzili ogólny upadek moralny, ruinę zasad etycznych w życiu prywatnem i społecznem, katastrofę rodziny i małżeństwa, zanik kultury i dobrych tradycyj etc. etc. Jedni z nich robią to melancholijnie, inni śmieją się w kułak, a jeszcze inni cieszą się i przyklaskują „nowoczesności", którą uważają za refleks piekła, a siebie za rozbestwionych demonów.

Pamiętamy świetne feljetony Stanisława Wasylewskiego, w dziennikach, a następnie w osobnych książkach. W formie eleganckich impertynencyj opowiada w nich autor o fatalnych skutkach małżeństw wojennych, zawieranych w pośpiechu i z ciekawości. Subtelnie rysuje postać Tuptusia i Mrówci, niedobranych w stadle, gdyż on jest za głupi, bo tylko *doctus ex bello*, a nie *ex libro*, przytem zmęczony tarapatami wojennemi, ona zaś zbyt wyemancypowana, mądra i energiczna. Spokojnie potępia epokę powojenną, w której zasady etyczne są uwa-

żane za przesąd z czasów, gdy się nosiło sznurówkę, długie włosy i długie suknie. Fejletony te, przedrukowane w książce „O siedmiu duszach kobiety“, były pisane w latach 1924—1925. Nikt się nie spodziewał — a zapewne sam Wasylewski najmniej, — iż prawdy rzeczone tak prędko staną się nieaktualne. Oto już po kilku latach wróciła moda i na sznurówki i na długie suknie i włosy, a nawet na zasady etyczne. Tupuś zmądrzał i wykształcił się, pozdawał egzaminy, wypoczął, odzyskał dzielność i fantazję i wziął się ostro do pracy i — do Mrówci, której już trochę znudziła się emancypacja i studja uniwersyteckie, poza na zepsucie „nowoczesne“ i na wszelkie rzeczy, do których się paliła dlatego, że były dawniej zakazane. Przeglądając dziś fejletony Wasylewskiego, uchodzące przed kilku laty za krzyk aktualności, nie możemy się oprzeć smętkowi, wiejącemu od rzeczy przestarzałych.

Zarówno Wasylewski, jak i Boy-Żeleński, ulegli złudzeniu, które nazwałbym feministycznem. Obserwując sytuację powojenną, przyszli do słusznego napozór wniosku, iż pokolenia męskie, wyniszczone wojną, dały się zdetronizować niewieście; że zatem ster życia kulturalnego przeszedł w delikatne rączki kobiece, do których zaczęli się łasić, a przypochlebiać, a zapewniać, że one wszystkiem rządzą (ah, ten Krasicki ze swojem: „My rządzim światem, a nami kobiety“), że od nich wszystko będzie zależało, byle tylko pilnie czytały każdą nową książkę pp. Wasylewskiego i Boy'a. Dr. med. Żeleński dodał jeszcze, iż przesiadywanie kobiety w piekle tyranji męskiej i kościelnej jest niedorzecznością, a spędzanie płodu i rozwody, to ósme niebo Mahometa.

Tymczasem wszystkie te argumenty i umizgi trafiły przedewszystkiem do pewnej kategorji podstarzałych bab, którym wojna i osłabienie opinji publicznej poprzewracało w głowach, natomiast młode pokolenia, ulegające zrazu ogólnej atmosferze, dziś już kpią sobie potrochu ze znachorów, nierozumiejących nowej generacji, która ani chce słyszeć o żadnych formach matrjarchatu.

Cóż się stało, że nasi najbystrzejsi i najdowcipniejsi mylą się we wnioskach generalnych i nie wyczuwają już tego, co wisi w powietrzu?

Spójrzmy z „lotu ptaka“ na różnicę pokoleń, a może to nam wyjaśni zagadkę. Ludzie, mający dziś pod pięćdziesiątkę lub nieco więcej, wychowywali się częstokroć w świętoszkowatej atmosferze, krępującej każdą swawolę i piętnującej, przynajmniej pozornie, wszelką rozwiązłość. Okres hypokryzji moralnej, a zarazem silnych zasad obyczajowości tradycyjnej, panujący zwłaszcza w Krakowie stańczykowskim i we Lwowie pani Dulskiej, zapadł tak głęboko w pamięć starszych, że wszystko, co się od tamtych czasów i stosunków, choćby napozór tylko, odstrychnęło lub radykalnie przeciwstawiło zaraz po wojnie, wydało im się rdzeniem nowoczesności, rewelacją i trwałą cechą nowej epoki. Była to iluzja.

Pokolenie, które dziś ma pod trzydziestkę — trochę mniej lub nieco więcej — wzrastające w czasach, gdy zepsucie powojenne święciło niebywałe sukcesy, gdy takie wytworne świństewka, jak „Słówka“ Boy'a, czytało się z pobłażliwym uśmiechem na ławach gimnazjalnych, gdy fala tak lubo przez Boy'a wspominanej rozpusty była powszechna i wydawała się całkiem naturalna i niewinna, — to pokolenie sprzykrzyło sobie najwcześniej rozwiązłość i upadek moralności szczerej i katolickiej. Zepsucie i rozluźnienie więzów obyczajowych, które starszym wydawało się jednem z istotnych znamion współczesności, dla młodych właśnie przestało być atrakcją, wyszło z mody. Nie co innego, tylko tradycyjne zasady etyczne stały się pociągającą nowością, stały się znowu modne — wraz z nawrotem młodzieży do idei narodowej, do patrjotyzmu i przywiązania do religji. Wojna wyrządzając na razie dużo zła, dała przecież początek nowym ideałom politycznym i obyczajowym, które są tembardziej nowe, że podobne do najstarszych. Fejletoniści nasi, z wyjątkiem Adolfa Nowaczyńskiego, który *malgré tout* odczuwa naprawdę współczesność, nie rozumieją lub nie doceniają związku, zachodzącego między przełomem ideowym wśród młodzieży a zmianami w obyczajowości dzisiejszej. Coprawda i socjologowie polscy, pracujący zdala od życia politycznego, nie wyczuwają równie nowych dążeń, które nie są jeszcze powszechne i głęboko ugruntowane, lecz niemniej szerzą się ze zdumiewającą szybkością i siłą. Nie znaczy to bynajmniej, iż przeciętny poziom moralny społeczeństwa już się podniósł wydatnie, lecz dowodzi stanowczo zasadniczej odmiany gustów, zapowiada odrodzenie. Pod powierzchnią nowoczesnych urządzeń i zwyczajów, na które starzy patrzą z fałszywego punktu widzenia minionych form przedwojennych, kryje się często zdecydowana krytyka cywilizacji hypernowoczesnej z jej rozwydrzeniem, zawrotnym rozwojem technicznym, zwarjowanem tempem i ubóstwem duchowem. Komu jeszcze ciągle imponują wynalazki, radjo, zeppeliny, dancingi, amerykanizacja, Liga Narodów, garsonki, poczwórne rozwódki, „Wiadomości Literackie“, wolnomyślicielstwo, dyktatura wojskowa i t. p., ten nie jest człowiekiem naprawdę nowoczesnym i postępowym, lecz bezkrytycznym snobem nowoczesności.

Wobec postawy młodych pokoleń polskich cała hałaśliwa robota destrukcyjna Boy'a uderza w próżnię. Ciekawą jest rzeczą, iż Boy w dawnej atmosferze krakowskiej miał właściwe poczucie swojej roli i swego talentu, gdy pisał o sobie i o przyjaciołach z „Zielonego balonika“:

> Czy który z nas, choć w mogile,
> Tej pociechy kiedy zazna,
> By nas naród wspomniał mile,
> Niby król swojego błazna?...

Atmosfera powojennej Warszawy zdemoralizowała Boy'a umysłowo, wypaczając ten wspaniały talent pisarski i robiąc zeń nieznośną tubą żydowskiej propagandy. Boy odznaczający się wielką inteligencją i krytycyzmem, dał się poprostu nabrać, pozwolił się pasować na biskupa wolnomyślicieli, uwierzył na serjo w swe posłannictwo, jak arcybiskup Kowalski od Marjawitów. Aż dziwnie patrzyć, jak ten znakomity prozaik i uzdolniony wierszopisarz, pozornie tak młodzieńczy, stracił wszelki kredyt, sympatję i uznanie właśnie wśród młodych. Nic nie pomógł artyzm języka i stylu, pikantny dowcip i rubaszny humor. Młodzież zaczyna już podrwiwać sobie z patologicznej erotomanji, przez której pryzmat Boy patrzy na cały świat. W napadzie panseksualizmu wykrzykuje co chwila: „Zmysły, Zmysły“! A młodzi odpowiadają: „Słyszeliśmy, już słyszeliśmy, gadaj pan inaczej“. Przecież to istna piła, gdy ktoś chce być na starość *shocking* tak, jak był za młodu w „Zielonym baloniku“, wśród pruderji krakowskiej.

Więcej, niż po innych obserwatorach współczesności, można było spodziewać się po Włodzimierzu Perzyńskim. Wyborny znawca życia miejskiego, coprawda zbytnio zamknięty w rogatkach warszawskich, wnikliwy historyk przemian obyczajowych i społecznych, baczny i subtelny odtwórca fragmentów natury ludzkiej, okazał przecież zarówno niezdolność do syntezy, jak i jednostronność analizy. Najlepszym tego dowodem jest ostatnia powieść Perzyńskiego: „Klejnoty". Zmarły niedawno autor przeciwstawił w niej dwa światy. Warszawkę przeciętnych snobów lub nikczemników i świeże, wywrotowe a szlachetne dążności młodego pokolenia, uosobione w postaci panny Kasi. Rysunek niektórych osób jest doskonały. Podstarzała, narwana snobka, papieska hrabina Olecka, odmładzająca się duchowo przez miłość do jubilera Tarnińskiego; inteligentny, lecz słabego charakteru bankier Dziewanowicz, niegdyś kochanek Oleckiej; matka Tarnińska, przepyszny typ patrycjuszki mieszczańskiej, rozmiłowanej w tradycji i w synu; z gruntu zła i zepsuta córka Dziewanowicza, Kuka; postrzelona ziemianka, Zabłocka; miły i kulturalny *ex*-obywatel z kresów, Węgrzyński; dzielny i sentymentalny samouk, Wiśniewski etc., oto galerja figur, umiejętnie chwyconych i opisanych z wielką precyzją i finezją, z rasowym talentem narracyjnym.

Niestety, centralna postać powieści, Kasia, jej miłość i małżeństwo z inteligentnym i uroczym niedołęgą, jubilerem Tarnińskim, przedstawiona jest dziwnie koszlawo. Wprawdzie Perzyński nie stara się generalizować typu swej bohaterki i nie robi jej wyraźnie reprezentantką dążeń i zasad młodej generacji, ale samo zestawienie faktów czyni ją tem do pewnego stopnia.

Kasia, samodzielna, energiczna, mądra panienka zrywa z matką, ową bezmyślną snobką, Olecką, która nie rozumie swej dwudziestoczteroletniej córki zupełnie, lekceważy jej poglądy i zamiłowania, jej solidne wykształcenie, nabyte na kursach ogrodniczych. Wstręt Kasi do świata salonów i szablonów, próżniactwa i głupoty oraz ciągła walka z matką skłania ją do ucieczki z domu, na posadę na wsi. Kasieńka rżnie przytem do mamy impertynencki list, którego trochę potem żałuje, a pod wpływem perswazji starego Węgrzyńskiego godzi się z matką, lecz posady oczywiście nie opuszcza. Kasia odnajduje siebie w pracy ogrodniczej i w życiu wiejskiem. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie parę drobiazgów. Przedewszystkiem zapał i egzaltacja ogrodnicza Kasi przybiera cechy nienaturalne: czujemy tu przesadę urbanisty, pływającego na falach poezji przyrody i atmosfery wiejskiej. Kasia jest tak uszczęśliwiona swoją coraz cięższą pracą fizyczną, swemi grządkami i skrobaniem kartofli, że myśli tylko o warzywach, flancach, kwiatach i karmieniu prosiaczków. Nie wiemy, co się właściwie w niej dzieje i jakim cudem dochodzi do miłości Kasi i Tarnińskiego. Objawy zewnętrzne życia duchowego Kasieńki są wzruszająco naiwne. Np. Kasia wyrabia w sobie siłę woli, a więc jeśli nie może opanować głodu przed spóźnionem śniadaniem, to czuje dla siebie pogardę. Przeciwstawiając się przesądom swojej sfery, nie czyści paznokci nawet przed wizytą u matki narzeczonego. Na własny ślub przyjeżdża pierwsza i czeka oblubieńca na chodniku, pod kościołem, między dziadami; na dobitkę włożyła czarną krawatkę, bo przecież nie jest przesądna, a zaraz po śniadaniu ślubnem idzie szukać pokoju do wynajęcia... dla Węgrzyńskiego. Wszystko to ma być okropnie postępowe i nowoczesne — a tymczasem jest to zwyczajny snobizm, tylko nawywrót. Jak starej Oleckiej imponowały tytuły i szyk, tak młodej imponuje prostactwo. Snobizm *à rebours*.

W całem zachowaniu się Kasi w dniu ślubu irytują nas nie tyle nawet dziwactwa, ile zupełna oschłość, brak wszelkiego przejęcia się uroczystością rodzinną; to nie kobieta, lecz kołek, karykatura panny młodej. A jednak autor zachwyca się nią, jej rozumem, dobrocią, delikatnością. Zapewne, minęły czasy, gdy panna młoda musiała w welonie drżeć, jak liść, musiała być ckliwa i nudna, ale pocóż popadać z jednej przesady w drugą? Młodzież dzisiejsza jest niewątpliwie mniej „wylewna", bardziej powściągliwa i opanowana, niż starsze pokolenia, ale to nie uczuciowość się zmniejszyła, tylko jej formy uległy zmianie, stały się dyskretniejsze. I to właśnie myli obserwatorów; nie dostrzegają oni istoty rzeczy, lecz pozory, z których wyprowadzają wnioski zbyt radykalne.

Ekstrawagancje Kasi osiągają szczyt w rozumowaniach o pożyciu małżeńskiem. Oblubienica rozmiłowała się tak namiętnie w pracy fachowej i w samodzielności, że chociaż wychodzi zamąż za człowieka zamożnego, chce bezwarunkowo pracować na siebie, choćby zdala od męża, chce godzić pracę zawodową z małżeństwem tak, jak mężczyzna, który „żeni się i idzie do zajęcia, nie zmieniając form życia". — „Więc poto masz wyjść za mnie, pyta narzeczony, żebyśmy się zaraz rozstali?" — „Alboż to mężowie nie zostawiają swoich żon i nie wyjeżdżają daleko na posady, do wojska..." odpowiada górnie narzeczona. Cały nonsens rozumowań Kasinych polega na tem, że nie dopuszcza ona różnicy kompetencyj społecznych i rodzinnych mężczyzn i kobiet. Ostatecznie jednak właśnie nowoczesność wykazała, iż różnice między obiema płciami polegają nietylko na tem, że kobiety rodzą dzieci a mężczyzni służą w wojsku. Tymczasem Kasia gotowa jest raczej zerwać zaręczyny, niż zgodzić się na rolę „utrzymywanej" przez męża, choć go stać na to bez trudu. Nowy absurd psychologiczny. Czytelnik przestaje wierzyć w miłość dziewczyny, która dla kręćka samodzielności materjalnej gotowa wyrzec się ukochanego człowieka. I to ma być rewolucyjne, oryginalne, nowoczesne! To są jedynie pomyłki, wynikające z przesadnych nadziei na nowoczesność. Przyniosła ona wiele, i wiele zmieniła, ale natura ludzka się nie zmienia i pewne sprawy codziennie nie zmieniają się, są konieczne jak chleb powszedni. — Posłuchajmy jeszcze mądrego gęgania Kasi: „Prowadzenie domu? To jest olbrzymia przesada. Pewnego rodzaju anachronizm. Chodzi tylko o to, jakby raz ten dom dobrze zorganizować. Potem już wszystko idzie automatycznie. W dawnych czasach rzeczywiście kobieta mogła być od rana do wieczora zajęta domem. Ale teraz wciąż się życie upraszcza i będzie się upraszczało jeszcze bardziej". Otóż właśnie, że nie! Dzisiejsze „panie domu" mają również pracę od rana do wieczora, bo dom to nie jest automat, który wystarczy raz dobrze nastawić, jak maszynę do pisania. Dom jest żywym organizmem, w którym nic nie idzie automatycznie, zwłaszcza w dzisiejszych skromnych warunkach. Życie tylko pozornie się upraszcza, w rzeczywistości ono się raczej komplikuje. — Ale Kasia ma jeszcze sporo argumentów: „Tysiące mężatek zajmuje posady, spędza ośm godzin poza domem, a nieraz całe dni,

a mimo to gospodarstwa idą. I zresztą, mojem zdaniem, prowadzenie domu z pomocą służby nie zasługuje nawet na miano pracy. Przecież to jest zajęcie, podczas którego można ciągle odpoczywać i znajdować czas na rozrywki, a już zwłaszcza na gadanie. Czyż to da się porównać z pracą mężczyzny i tych kobiet, które pracują, jak mężczyzni"„. Ależ, ależ, panno Kasiu! Mężatki, pracujące poza domem, to smutna konieczność biedy, odbijająca się naogół fatalnie na życiu rodzinnem, na wychowaniu dzieci i na szczęściu domowem, które tylko stała obecność kobiety może wytworzyć. Pracą i wysiłkiem jest nietylko praca fizyczna, szorowanie podłóg i mycie garnków czy pranie bielizny. Odpoczynek i rozrywki są potrzebne nawet maniakom, a ciągłe porównywanie się z mężczyznami, to przeżytek z czasów przedwojennych sufrażystek. Uzyskanie przez kobiety dzisiejsze zupełnej swobody pracy i studjów rozwiało wiele złudzeń, które z tem łączono i pozwoliło młodym pokoleniom odzyskać równowagę duchową. W powieści Perzyńskiego zwycięża doktryna Kasi, przewyższającej energją i egoizmem męża mazgaja.

Schemat mężczyzny, wodzonego za nos przez damę, znajdujemy również w ostatniej powieści Zofji Kossak-Szczuckiej pt.: „Dzień dzisiejszy". Głupia, podła i bezmyślna lala, pani Błędowska, zdradzająca zaślepionego męża, kokietuje młodego Porębę z takiem powodzeniem, że ten dudek traci głowę, rujnuje się moralnie, odbija Błędowską (przyczem pomaga mu wypadek samochodowy), rozwodzi ją i zaręcza się sam z ubóstwianą, która już tęskni do nowej zdrady. W całej tej aferze Poręba wygląda, jak mydłek bez woli, nie umiejący ani trochę panować nad porywami zmysłów; jest popychadłem kobiety i przypadku, które rzucają nim, jak śmieciem.

Książka p. Szczuckiej to nie powieść, lecz chaos babskich plotek. Ze skomplikowanej rzeczywistości dnia dzisiejszego autorka spostrzega jedynie objawy powierzchowne, czysto zewnętrzne: zawody narciarskie w Zakopanem; ciężkie położenie ziemian, żyjących nad stan (każdy musi mieć auto!); przyjazd i przyjęcie w starostwie Prezydenta Rzeczypospolitej, opisane zresztą tak banalnie i ckliwie, że aż mdli; manję automobilizmu i szybkiego tempa, wobec którego autorka jest dość bezkrytyczna; rozbicie polityczne narodu, przedstawione płytko i tendencyjnie. Najlepiej udał się opis rzeczy, na której p. Szczucka się zna, mianowicie opis *bridge*'a sąsiedzkiego w dworze wiejskim. Szkoda, że jest to jedyny motyw współczesny, który autorka zgłębiła należycie, przynajmniej w teorji. W „Dniu dzisiejszym" są wprawdzie trzy osoby rozumne: niemrawy mąż, lecz dzielny dyrektor cukrowni, Błędowski, p. Kozińska i Janka Rudzka, ale autorka usunęła je na dalszy plan, żeby nie psuły harmonji. Niektóre spostrzeżenia p. Szczuckiej są trafne i bystre, książkę jej czyta się, zwłaszcza w wagonie, łatwo i prędko, ale jako opracowanie estetyczne współczesności, nie może ona zadowolić nawet skromnych wymągań krytyki. Od świetnej „Pożogi", która była rzetelnem dziełem sztuki, głęboko przeżytem, artystycznie opracowanem, poprzez rozpadającą się kompozycyjnie, lecz piękną, „Złotą wolność" i blade „Legnieckie pole", aż po chybiony „Dzień dzisiejszy" talent p. Kossak-Szczuckiej opada terasowato wdół.

Na bezstronne i wszechstronne ujęcie obyczajowości dzisiejszej jest jeszcze zawcześnie. Przyjdzie czas, że ludzie z naszej młodej generacji sami zdobędą się na rozumną syntezę. Krytyka i rady, udzielane młodym pokoleniom przez starszych pisarzy, są, jak dotychczas, jednostronne i nie *à propos*. Pisał La Rochefoucauld: „Starzy lubią dawać dobre rady, aby się pocieszyć, że nie są już zdolni dawać złych". Dzisiaj mamy nieraz ochotę sparafrazować tę maksymę tak: „Starzy lubią dawać złe rady, aby sobie przypomnieć, że niegdyś dawali złe przykłady".

MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

ORZEŁ, KOGUT I SOWA

WOBEC ORJENTACJI AUSTRJACKIEJ

TEMAT nieaktualny; ale skoro nas prof. Pigoń wzywa do dalszej dyskusji nad proroctwem księdza Marka, nie możemy się uchylić od stawiennictwa.

Główne wiązania naszego wywodu dadzą się streścić tak:

1. „Profecja" czy też „Wieszczba" o Polsce-Feniksie ukazała się po roku 1768, więc nie mógł jej ułożyć zamknięty w Kijowie ksiądz Marek, który zresztą wogóle wierszy nie pisał.

2. Symbolika utworu oznacza, że Polska zakwitnie pod władzą dziedzicznego monarchy, w dynastycznym związku z Austrją (biały jednogłowy orzeł na piersiach czarnego dwugłowego); wówczas odpokutują za swoje Rosja i Prusy. Turcja upadnie, ludy chrześcijańskie i grób Chrystusa odzyskają swobodę; wszystko to jednak nastąpi dopiero po wielkiej wojnie, w której ognisku znajdzie się Jasna Góra częstochowska.

3. O wprowadzeniu na tron polski królewicza Albrechta, żonatego z Austrjaczką myślał w latach 1768—9 ksiądz Tomasz Garlicki, który

4. pisał wiersze i grał wśród krakowian podobną rolę, jak ks. Marek na Podolu. On więc najprawdopodobniej skomponował poetyckie „proroctwo".

W luźnym związku z głównym wywodem znajduje się to, co mówimy o pokrewieństwie (przez Feniksa) między wcześniejszym, poronionym i zapomnianym „Tekstem kabalistycznym", a późniejszą dojrzałą, znakomitą „Profecją".

Prof. Pigoń, do naszych świateł historycznych niewiele ma zaufania, ufa zato metodzie filologicznej, więc po dawnemu:

1. wierzy, że „Wieszczba" została napisana w r. 1763, bo tak twierdzi pierwszy jej wydawca;

2. nie przyjmuje naszego wykładu, że to Turcja, a nie Orda Krymska ma utracić swe „prawo wraz z państwem" w razie stałego związku Polski z Austrją;

3. nie wierzy, że ksiądz Garlicki był autorem choćby „Książeczki do nabożeństwa", nie dopiero „Proroctwa".

4. uważa cały nasz wywód o późniejszem ukazaniu się „Proroctwa“ za obalony wobec oczywistego zapożyczenia się w temże „Proroctwie“ „Lamentacji Jeremjasza nad Krakowem“, która powstała już w sierpniu 1768 roku; a ponieważ na zaciąganie tej pożyczki literackiej trzeba było aż pięciu lat, więc „Proroctwo“ pochodzi z czasów bezkrólewia. Zdaje się, że to nowe zestawienie tak utwierdziło prof. Pigonia w dawnym poglądzie, że wszystkie nasze fakty i rozumowania uznał za pajęczynę w porównaniu z jednem twierdzeniem „Drukarni Wolnej“, iż utwór powstał w r. 1763. Zacznijmy od drukarnianego świadectwa. Przypuśćmy, że dziś chodzi o podanie w druku daty rękopiśmiennej ulotki z początków XX wieku, przytem ulotki zawiłej i nadobłocznej.

Kto potrafi określić moment jej p o w s t a n i a (a nie rozpowszechnienia)? Sam chyba autor. Ale autor, jeżeli ma styczność z wydawnictwem, nie pozwala fałszować oryginału, a ten, kto oddał „Wieszczbę“ do Drukarni Wolnej, przerobił w niej tendencyjnie parę wierszy. Ten świadek, więcej niż podejrzany, najprawdopodobniej daty dokładnej nie znał, a postawił rok 1763, bo to był rok zaczynającej się tragedji, moment, kiedy wieszczba mogła wyglądać najbardziej proroczo.

Zresztą, niezależnie od suggestji czy suppozycji pierwszego wydawcy, możnaby przyjąć rok 1763 (schyłek Augusta III lub początek bezkrólewia), gdyby treść utworu dawała się włoczyć w ramy ówczesnego życia. Otóż po pierwsze, nikt w ówczesnym obozie antyrosyjskim nie życzył ukrócenia „Koguta“ t. j. Francji, nie szermował hasłem „wiary“ przed poruszeniem sprawy dyssydenckiej w r. 1764, nie szukał dla Białego Orła oparcia na piersiach Czarnego dwugłowego; myślano o elektorze, o Karolu Kurlandzkim, o J. Kl. Branickim, a nie o Albrechcie. Powtóre, w żadnym rękopisie niema proroctwa wśród źródeł wcześniejszych, niż z roku 1769, a dopiero od tego roku mnożą się odpisy. Te względy mocniej popierają naszą chronologję, niż zestawienie „Proroctwa“ z „Tekstem kabalistycznym“, z którego prof. Pigoń wysnuwa wniosek przeciwny naszemu. Naszem zdaniem „Tekst“ nie wytrzymał konkurencji z potężną „Profecją“ i znikł, bo niedojrzała próba znika, gdy się pojawia dzieło skończone i dojrzałe. Zdaniem prof. Pigonia najpierw powstaje arcydzieło, potem liche imitacje (np. „Dzieje Wacława“ po „Dziadach“) Prawdopodobnie obaj uogólniamy tu zbyt śmiało: czasami Bekwark bierze lutnię po rzępołach, czasem rzępoły po Bekwarku. Sądzimy jednak, że między p r o r o k a m i (a nie poetami) słabszy respektuje silniejszego.

Ale bez tego argumentu porównawczego możemy się na razie obejść.

Więcej znaczy wykład treści „Proroctwa“ i jego związku ze współczesnem życiem. Prof. Pigoń interpeluje nas, co znaczy zapowiedź konfliktu między Polską a „wielkim mocarzem“ oraz strasznych wojennych turniejów podczas Konfederacji Barskiej. A coby one znaczyły w r. 1763, po świeżo zakończonej Wojnie Siedmioletniej? A co znaczą w „Tekście“, gdzie wprost przepowiada się czwórprzymierze przeciw Rusom, i pisze się to napewno w r. 1768? Naprawdę przepowiadano wówczas wojnę powszechną (biskup Krasiński bał się po niej rozbioru Polski). Dlatego nas interpelacja o „turnieje“ nie zbija z tropu. A ta inna interpelacja, o Turków: że naszem zdaniem „Wieszczba“ głosi ich zgubę, kiedy pokrewny jej Tekst przepowiada zbawienie Polski właśnie przez Turcję? Czyż to naprawdę ma podważać nasz wywód? Czy pokrewieństwo oznacza jednomyślność? Czy niedość wyraźnie zaznaczyliśmy, że tendencje obu utworów są różne? Nad przypuszczeniem, że w r. 1763 Turcy mają nas ratować, a my tymczasem z jakimś czarnym Dwugłowem zniszczymy państwo tatarskie, nie może być wogóle dyskusji.

Przejdźmy do sprawy autorstwa Garlickiego. Prof. Pigoń w nie nie uwierzy, póki nie zobaczy choćby 2 rymów przezeń złożonych. Możnaby w hyperkrytyce pójść jeszcze dalej, i żądać rymów dobrze pokreślonych (bo bez tego robiłyby wrażenie odpisu). Ale czy nie wystarczą dowody pośrednie? W jedynej znanej „K s i ą ż e c z c e d o n a b o ż e ń s t w a“ konfederatów (jedynej na 50 archiwów i bibljotek) są liczne pieśni. O jedynej książeczce donosi rosyjski major, że ją zdybał w drukarni, gdy ją ks. Garlicki oddawał do druku Więc jakże? Redaktor, antologista czy plagjator? Prof. Pigoń przypuszcza, że Garlicki zbierał pieśni cudze. Otóż ktokolwiek przejrzy przypisy do wydawnictwa Kolbuszewskiego, zobaczy, że utwory wzięte z duchownej „K s i ą ż e c z k i“, (z wyjątkiem paru) nie są znane skądkolwiek nad, chyba z rękopisu tejże „K s i ą ż e c z k i“; a kto przestudjuje rękopis p. J. Michalskiego, przekona się, że tylko kilka utworów tam zawartych poszło w nieco szerszy obieg i trafiło do „Materjałów“ Szcz. Morawskiego. Prof. Pigoń nie próbuje nawet przypuścić, że te w y j ą t k o w o z n a n e w o d p i s a c h poezje pochodzą od ks. Garlickiego: on mu każe dowodzić, że nawet to, co miał w tece (a co tchnie nawskroś jednolitym duchem), dostał czy zabrał od kogoś innego. My tych podejrzeń nie podzielamy, wnioskujemy też w dalszym ciągu: skoro wśród konfederatów Garlicki jeden z niewielu umiał pisać wiersze i uważał siebie za wieszcza; skoro Garlicki prawie sam jeden w r. 1769 pracował nad unją dynastyczną polsko-austrjacką; skoro Garlicki zżył się z Jasną Górą: więc autorem „Wieszczby“, gdzie mowa o takiej unji i o zagrożonej „cnej górze“, jest najprawdopodobniej Garlicki.

Tu nagle pada w nas pocisk najcięższy, trzydziesto i półcentymetrowy. Jakiś Jeremjasz biada nad Krakowem, jego kościołami i zakonnicami, używając podobnych zwrotów, jak przedtem autor „Proroctwa“, a że biada latem 1768 r., więc „Proroctwo“ powstało o pięć lat wcześniej. Posłuchajmy „Lamentacji“ (Kolbuszewski, 107).

Spełniły się prorockie nad Krakowem słowa
I że polskiego orła od północy sowa
Moskiewska podskubała i udusić miała,
Gdy przez różność Polaków dużo osłabiała (*sic*),
A kościoły się boskie w stajnie obróciły,
Pola Polakom w groby i straszne mogiły,
Zakonnych panien czystość już sprofanowana,
Wolna Polska w niewolę została poddana.

Proroctwo zaś głosiło:

Wstyd poświęcony Bogu panna straci,
Kapłan z ofiarą przy ołtarzu lęże,
W toż licho mnicha z zakonnikiem sprzęże

dalej cztery wiersze o „cnej górze“ i dopiero groźba, że

„Kościoły z ozdób swych zdarte zostaną.“

Są więc kościoły i zakonnice, ale skąd się wzięła na pierwszem miejscu sowa? Najwidoczniej

„Jeremjasz“ pamiętał jakąś inną przepowiednię, z inną symboliką, a o kościołach pisał według własnych bolesnych obserwacyj, nie według literatury. Wielkie zresztą pytanie, do którego wiersza sięga spełnienie „prorockich słów“, czy nie dotyczą one tylko sowy, kiedy tymczasem dalsze wiersze (od wyrazu „Gdy“) przedstawiają poprostu rzeczywistość, a nie parafrazują żadnego proroctwa. Dalsze pytanie: czy ta sama troska o kościoły i o zakonne panny nie przebijała w paru różnych proroctwach, raz w sąsiedztwie symbolu sowy, a kiedyindziej w sąsiedztwie orłów, kogutów, strzelców i t. p.

Wreszcie, gdyby nawet przypuścić, że „Jeremjasz“ miał przed oczyma „Wieszczbę“, a tylko przez nieścisłość nawiązał do sowy, to kiedy mógł on to uczynić? Według prof. Pigonia już w lecie 1768 r. Otóż jest w tej „Lamentacji“ wzmianka, którą wydawca Kolbuszewski uważa za pozostającą w związku ze „Stacjami“ Przystałowskiego; jeżeli związek oznacza tu także zapożyczenie, toby świadczyło, że „Jeremjasz“ zabrał głos dopiero na wiosnę r. 1769, kiedy egzemplarz „Stacyj“ wrócił z autorem do Polski aż z dalekiego Kijowa. Wówczas rzeczywiście należało tak właśnie lamentować, jak nasz „Jeremjasz“, t. zn. wzywać na końcu jeremjady do dalszej walki o wiarę i wolność pod znakiem odnowionej (17 kwietnia) konfederacji krakowskiej. Lecz w takim razie moment powstania „Proroctwa“, przez nas wskazany w związku z akcją ks. Garlickiego, przestaje się kłócić z wnioskami, jakie możnaby od biedy wysnuć z dwóch wierszy „Lamentacji“.

Ale sowa to nie komar, „Jeremjaszowi“ ona się nie przywidziała... Konkluzja: Zdaniem naszem, prof. Pigoń nie nadwerężył w niczem naszej wykładni „Proroctwa“, jedynej, jaką można umieścić w ówczesnej rzeczywistości historycznej (interpretacje filologiczne i astralne zostawiamy na uboczu, a do roku 1763 żadna interpretacja historyczna się nie nadaje); prawdopodobieństwo autorstwa ks. Garlickiego osłabił w niewielkiej mierze; istnienia rymowanej „Wieszczby“, przed rokiem 1769 nie udowodnił. Poparł tylko dowodem nasze przypuszczenie, że jakieś wieszczby latały jeszcze przed uwięzieniem ks. Marka, a jedna z nich może pochodziła od sławnego Karmelity.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

„KRÓL KAZIMIERZ JAGIELLOŃCZYK“ WYSPIAŃSKIEGO

W PIERWSZYCH miesiącach 1905 r., Wyspiański, starając się o dyrekcję teatru krakowskiego, przygotowywał sobie zupełnie poważnie przyszły repertuar [1]). Miał to być przedewszystkiem wielki repertuar historyczny.

Rozczytanie się w dramatach historycznych typu szekspirowsko-romantycznego nie pozostanie bez wpływu na jego własną twórczość. Rozpoczęte w poprzednich miesiącach fragmenty daremnie oczekiwać będą dalszego opracowania, poeta ujrzy przed sobą nowe dziedziny: dramatu historycznego. Jeżeli dotychczas w przeszłości wyobraźnię jego pociągały raczej legendarne mroki, a myśl krążyła około wydarzeń z dziejów porozbiorowych (powstanie listopadowe, rok 46, legjon Mickiewicza), teraz sięgnie do czasów rozkwitu Polski, którym złożył był tylko młodzieńczą dań, związaną raczej z dziełami sztuki („Batory pod Pskowem“, „Śluby Jana Kazimierza“). Tym sposobem doszło do tego, że autor dramatów o Wandzie, o Bolesławie Śmiałym, podjął ostatecznie i inne tematy, równie „obowiązujące“ polskich dramatopisarzy, jak Jadwiga, Samuel Zborowski, do których dołączy się później i Barbara.

Zachowuje zupełną niezależność od dramatycznych opracowań swoich poprzedników; sięga natomiast do źródeł historycznych, do kronik, diarjuszy, pamiętników, studjów naukowych. Wyobraźnię jego zapładniają m. in. barwne szkice historyczne Szajnochy.

W nowych fragmentach niema zasadniczo elementu fantastyczno-mitologicznego (dopiero w 1907 r. powróci on jeszcze w pomyśle ostatniej redakcji „Zborowskiego“). W tej ważnej zmianie można widzieć również wpływ programowego studjowania dawnych utworów, a przedewszystkiem historycznych dramatów Szekspira.

Tak więc i w doborze tematów i w ich ujęciu zarysowuje się ewolucja artystyczna, która niestety nie wyda dzieł całkowicie wykończonych. Wyspiański bowiem w połowie 1905 r. okazuje zbyt wielką ruchliwość, by utwór jakiś wykończyć, zanadto rozprasza swoją energję, która wówczas dochodzi do szczytu, jakby w przeczuciu tego załamania, jakie sprowadzi wybuch choroby w jesieni. Odtąd twórczość jego będzie już zależna od zmiennych faz choroby.

Pierwszym z tych fragmentów jest: „Król Kazimierz Jagiellończyk“.

Wybór takiego tematu wypłynął pośrednio z ponownej lektury Szekspira, z przypomnienia sobie jego „dramatów królewskich“. Wyspiański mógł stwierdzić, że polscy dramatopisarze obracali się naogół w dość ciasnym kręgu tematów historycznych. Szuka tematów innych i odbywa tę samą drogę, co Szekspir: jak Szekspir czerpał z kroniki Holinsheda, tak on sięga do kroniki Długosza.

Zatrzymał się nad historją panowania Kazimierza Jagiellończyka, która przez swe bogactwo treści mogła dać materjał do utworu w paru nawet częściach, tak jak parę części obejmują „Henryk IV“ lub „Henryk VI“. W planie fragmentów zaznacza „część pierwsza“, i słów tych nie można chyba uważać za wybieg kompozycyjny, jak np. w tytule „Kordjana“.

[1]) W najbliższym czasie ukaże się VI tom „Dzieł zbiorowych“ Stanisława Wyspiańskiego. W rocznicę zgonu Poety, porozumiawszy się z Instytutem Wydawniczym „Bibljoteka Polska“ oraz z obecnym wydawcą, ogłaszamy wyjątki ze wstępu. (Przyp. Red.).

Zarys planu scen pierwszej części, ze wskazaniem odpowiednich stronic Długosza, pozwala nam — po stwierdzeniu tego, że sceny napisane nie odbiegają w faktach od źródła — określić w przybliżeniu treść zamierzonego utworu.

Rozdziały Długosza, które poeta sobie zaznaczył, wszystkie niemal przedstawiały główne epizody długotrwałych konfiktów wewnętrznych w pierwszym okresie panowania Kazimierza Jagiellończyka. W obrazie kronikarza ścierają się wówczas najsprzeczniejsze czynniki i interesy. A więc Litwę musi Kazimierz chronić przed pretendentami: ks. Michałem (synem Zygmunta) oraz Świdrygiełłą, którzy za sobą mają zwolenników zupełnej samodzielności Litwy. Przyjął już był, po długiej zwłoce, koronę polską, ale chcąc utrzymać Litwę w swem ręku, nie spełnia żadnych życzeń polskich w sporach granicznych (o Wołyń, Łuck) i ustrojowych, któreby mogli wyzyskać jego litewscy przeciwnicy. Wśród panów polskich rośnie niezadowolenie, na czele opozycji staje Zbigniew Oleśniecki, dawniej główny poplecznik powołania Kazimierza na tron polski. Spór zaostrza się wskutek żądania potwierdzenia praw i przywilejów polskich, co Kazimierz nieustannie, z rady na radę, z sejmu na sejm odwleka. Do tego na terenie wewnętrznym polskim dołączają się jeszcze antagonizmy dzielnicowe: raz panowie mazowieccy, to znów wielkopolscy, występują przeciw małopolskim, zazdrośni o pierwszeństwo; antagonizm wielkopolan wybuchł w sprawie o godność kardynalską Zbigniewa.

Ten splot różnostronnych zatargów wypełniałby pierwszą część dramatu. A raczej kroniki dramatycznej, treść bowiem miała być ujęta w szereg krótkich stosunkowo scen, jak „Achilleis“, odpowiadających treści danych rozdziałów Długosza. — Plan przewiduje scen 20, rozgrywających się w ciągu kilku lat, od spisku Suchty w 1446 r. aż do zjazdu sieradzkiego w 1552 r.; część I. musiałaby jeszcze objąć zjazd piotrowski (z r. 1453), na którym król przywileje wreszcie zatwierdził, bo ta scena dopiero przyniosłaby zakończenie głównego w utworze konfliktu.

Z 5 scen napisanych, trzy odpowiadają dokładnie planowi, ostatnia zamiast „W kapitularzu“ (katedry krakowskiej) pomyślana jest w „W izbie Długosza”, przybyła jeszcze jedna scena w tej izbie, środkowa. (W stosunku do planu byłyby to w całości sceny: 4, 9 nowa między 17 a 18, 19).

Ich charakter nie jest jednolity: sceny „W Nowem Mieście Korczynie“ i „Na Radzie Królewskiej“ są dosłownemi wypisami z polskiego przekładu Długosza (tak samo wyzyskał niedawno Biblję dla III aktu „Akropolis“), dialog króla z księciem Michałem („W Kaliszu“) jest wysnuty z opowiadania Długosza, obie zaś sceny „W izbie Długosza“ są już swobodną inwencją poety. Mamy tu więc jakby różne warstwy pomysłu, różne fazy stosunku do historycznego źródła. Dodajmy różnorodność formy w scenach oryginalnych (proza, wiersz biały, wiersz rymowany), co oczywiście tłumaczy się rozczytaniem w dramatach Szekspira.

Co ważniejsze jednak, sceny „W izbie Długosza" są zupełnie odmienne i w ujęciu postaci i w stylu.

Kardynał jest tu ujęty jako postać charakterystyczna: rubaszny zrzęda, srożący się a łatwo ustępliwy, przypomina bardzo — niższego zresztą w hierarchji kościelnej — ks. Gwardjana-Prowincjała ze „Złotej Czaszki“ Słowackiego; dialogi w izbie Długosza mają podobny ton, jak rozmowy w klasztorze franciszkańskim w Krzemieńcu w w. XVII. To podobieństwo staje się jasne, gdy przypomnimy sobie, że poeta niedawno przestudjował dramaty „pośmiertne“ Słowackiego; niemniej jednak ta próba naśladowania szlacheckiego humoru literatury tradycyjnej była u Wyspiańskiego czemś odosobnionem. Czy i jak potrafiłby autor zestroić te różnice, uderzające przedewszystkiem w stylu kardynała Zbigniewa, który na radach przemawia z całym aparatem retoryki dziejopisarza, a w scenach innych jest rubachą i ma swoje „powiedzenia“?!

O ile sam wybór tematu był szczęśliwy przez jego nowość, to w sposobie jego traktowania nie widać jeszcze dojrzałej, przemyślanej koncepcji artystycznej.

Od dalszej pracy nad „Królem Kazimierzem Jagiellończykiem“ oderwały Wyspiańskiego zawód w staraniach o teatr krakowski i nowe zainteresowania (działalność publiczna).

LEON PŁOSZEWSKI

BIAŁE MELODJE

Na błonach nietoperzych cicho nad miasto nadleciał
zmierzch: zaplątał się wiotkiemi skrzydłami w antenach,
ugrzązł w gwiezdnej sieci —
i zwisł nad dachów klawiaturą,
jak martwa ręka Szopena.

Księżyc w długie aleje drzew wszedł jak anioł zesrebra:
dotykał złotych koron kasztanów oburącz
i grał
umarłem światłem
melancholijną, jesienną sonatę.

Szmer liści, szelest i szept
przygasał, martwiał u stóp.

Po liściach trącał srebrny flet,
fortepianowy akord wiódł —
i szedł po cichych drzewach,
po martwych gwiazdach szedł
z śnieżystym, białym śpiewem,
umarły flet.

Białe obłoki sunęły przez senną pustynię nieba,
jak duchy zaginionych w piaskach dromaderów:
nad ich grzbietami srebrny się turban kolebał —
jak żagiel łodzi, puszczonej bez steru
na mórz umarłych odmęty:
pod martwym żaglem obłąkani poeci płyną do Ziemi Świętej.

W kasztanów złotych koronach
srebrzysty flet się snuł,
opadał w miękkich półtonach
z martwemi liśćmi wdół.
W żałobnej melancholji
płakały jesienne wiole
w pluszowych spazmach Cis-moll.

Po liści szelestnym kobiercu
pełzł cień anioła śmierci
w śnie fletu srebrnego i wiol.

JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA

NA WIDOWNI

Crudelissime a Judeis occisus... — Czemu młodzież ma wyraźne stanowisko w sprawie żydowskiej?

W STARYM, czasy Jagiellończyków pamiętającym kościele Bernardynów w Wilnie, w surowej, dostojnej nawie gotyckiej, po prawej stronie znaleźć można niewielki kamienny nagrobek w kształcie trumienki, z następującym, wyrytym na nim napisem:

D. T. O. M. D.
INGENUI PUERI SIMONIS KIERELIS NATIONE VILNEN. SEPTIMO AETATIS ANNO CRUDELISSIME A JUDEIS VULNERIBUS CENTUM SEPTUAGINTA OCCISI
IN ANGULO HUIUS ECCLESIAE TUMULATI
ANNO A CHRISTO NATO 1592
ERECTA
EX ELEEMOSYNIS BENEFACTORUM ANNO DOMINI 1623 [1])

Ze straszliwą wyrazistością stoją dzisiaj w pamięci te słowa z przed lat zgórą trzystu: *crudelissime a Judeis occisus...* Oto bowiem fakty z dni ostatnich, opublikowane przez „Gazetę Warszawską“ dn. 12 b. m., — opatrzone przytem następującą, jakże znamienną dla stosunków obecnych uwagą: „Ponieważ za opis onegdajszych zajść w Wilnie pismo nasze zostało skonfiskowane, — przeto ograniczamy się jedynie do podania wiadomości, zakomunikowanych oficjalnie prasie wileńskiej i ogłoszonych w prasie wileńskiej“. Jakże przejmującą wymowę posiadają słowa tego umyślnie suchego, umyślnie w najbardziej powściągliwej formie ułożonego sprawozdania:

„Gdy pochód młodzieży wracał z Zakładu anatomicznego, na rogu ul. Wiwulskiego zastąpiła mu drogę bojówka żydowska. Wywiązało się ostre starcie... Najciężej zraniony został student Stanisław Wacławski, który dostał kamieniem w głowę.

Broczącego krwią Wacławskiego wzięli koledzy do dorożki w celu przewiezienia go do szpitala. Gdy dorożka znajdowała się na rogu ul. Zawalnej i Wielkiej Pohulanki, została napadnięta przez inną bojówkę. Posypały się kamienie i strzały rewolwerowe. Ciężko ranny Wacławski został powtórnie ugodzony kamieniem. Ta rana okazała się potem śmiertelna. W starciu zraniony został poważnie student Sobolewski, który odwoził Wacławskiego“...

Czyż potrzeba jakichkolwiek dalszych szczegółów? Kamienowano. Kamienowano ciężko zranionego, przewożonego dorożką do szpitala. *Crudelissime a Judeis occisus...*

— — — — — — — — — — — — —

Kamieniowanie, odwieczna, tradycyjna broń żydowska, kiedy zamroczeni nienawiścią, pragną zniszczyć w zarodku rozwój idei, w której widzą swą zgubę — to metody działania wyjątkowe, niezbyt zresztą, jak poucza historja, skuteczne. W normalnych, codziennych warunkach, nie przez krew, ale przy pomocy potęgi złota, uzależniającej jednostki ludzkie i całe grupy, dążą żydzi do zdobycia wpływu na życie narodów, wśród których zamieszkują. Potęgi złota i potęgi organizacji, czyniącej z ludzi poszczególnych swe narzędzia, czasem karjerą, czasem strachem, czasem pomocą przy urzeczywistnianiu ich osobistych zamierzeń i celów.

Trzeba zdawać sobie sprawę z tego stanu rzeczy, by zrozumieć przyczyny faktu, rzucającego się w oczy, mianowicie, że prąd przeciwżydowski tak silnie, tak powszechnie i tak żywiołowo przejawia się właśnie pośród pokolenia wchodzącego dopiero w życie, pokolenia najmłodszego. Poprostu młode generacje mniej są jeszcze, z natury rzeczy, zmaterjalizowane, a równocześnie są swobodniejsze moralnie, nieskrępowane tysiącem ubocznych względów i rachub, nie lękają się więc mówić prawdy bez osłonek i konsekwentnie według tej prawdy postępować.

W rzeczywistości bowiem, w kwestji żydowskiej, wśród Polaków niema właściwie różnicy zdań, są tylko różnice stopnia uzależnienia. Instynktownie, stosunek każdego Polaka do żydów jest niemal jednakowy, rozumowo — jeśli tylko uczciwie pojęty interes Polski jest punktem wyjścia rozważań — łatwo zgodzić się na niektóre przynajmniej, przez wszystkich jednakowo uznawane, wytyczne polskiego programu. Zakłopotanie rozpoczyna się dopiero, kiedy chodzi o publiczne zajęcie stanowiska i o wyciągnięcie zeń wniosków praktycznych.

Interesujące daje wtedy widowisko obłuda, gdy ludzie uzależnieni zabierają z tych czy innych powodów głos w sprawie stosunków polsko-żydowskich. Jedni usiłują zwalczać „antysemityzm“ tonem specjalnie napastliwym i drażniącym, spodziewając się, iż w atmosferze podniecenia łatwiej im będzie usunąć zręcznie z pod dyskusji właściwy przedmiot sporu, uniknąć nieprzyjemnych dla siebie pytań i odpowiedzi. Inni, ze śmiesznie sztuczną dostojnością, powtarzają „szlachetne“ komunały, nie orjentując się przytem wcale, jak zabawnie w tym wypadku wygląda fałszowana powaga ich pouczeń. Ostatnio nawet Izba Przemysłowo-Handlowa, instytucja w zakresie moralistyki doprawdy nie imponująca kompetencją, po raz pierwszy od czasu swego istnienia odkryła w sobie powołanie kaznodziei-amatora, uznała się za uprawnioną do udzielania wskazówek w zakresie etyki i strofowania młodzieży polskiej za jej przeciwżydowskie stanowisko. Gdy się widzi akrobatykę umysłową, łamańce logiczne, jakiemi różni starsi panowie, ludzie „na stanowiskach“ zmuszeni są popisywać się, skoro mają wyraźniej określić stanowisko swe w kwestji żydowskiej, odczuwa się zarazem niesmak i politowanie. Wystarczy zadać każdemu z nich proste pytanie, np: „czy jest pan wyznawcą poglądu, że Polacy powinni kupować tylko w sklepach polskich?“, albo też: „czy jest pan zwolennikiem *numerus clausus?*“ — majestatyczny mąż natychmiast z wprawą baletnika wykona piruetę myślową i, nie tracąc ani na chwilę jedną uroczystego wyrazu twarzy, odpowie z namaszczeniem: „Proszę pana, jestem stanowczym przeciwnikiem ekscesów, niegodnych rycerskiej tradycji chrześcijańskiego narodu!“...

Młodzież ujmuje rzecz w sposób prosty, bez ukrytych względów, i dlatego stanowisko jej w stosunku do żydów jest tak jasne, zwarte logicznie,

[1]) Przekład: Pamięci niewinnego chłopca, Szymona Kierelicza rodem z Wilna, w siódmym roku życia przeokrutnie przez żydów stu siedemdziesięciu ranami zamordowanego, i u węgła tego kościoła w roku od Narodzenia Chrystusa 1592 pochowanego, [nagrobek ten] z ofiar dobroczynnych wzniesiono w roku Pańskim 1623.

zrozumiałe. Ale młode pokolenie dzisiejsze nietylko posiada niezależność duchową, pozwalającą bez skrępowania wypowiedzieć się w sprawie żydowskiej, lecz zdecydowane jest ono również tę niezależność zachować, ceni ją jako wyraz swojej godności ludzkiej, widzi w niej nakaz narodowego sumienia.

Dlatego to, co dzieje się w chwili obecnej na wyższych uczelniach, jest naprawdę zapowiedzią — nowych czasów.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

NA NABOŻEŃSTWIE ŻAŁOBNEM za duszę ś. p. Stanisława Wacławskiego, które dnia 14 b. m. w kościele akademickim św. Anny w Warszawie zgromadziło tysiączne rzesze młodzieży, czcigodny Rektor kościoła akademickiego, X. Szwejnic, w pięknem, głębokiem kazaniu, w którem nawoływał do rozwagi i strzeżenia się przed możliwością prowokacyj, mówił między innemi:

„Komu Opatrzność Boża pozwoliła do głębi spojrzeć na społeczność akademicką, ten wie, że młodzież akademicka godnie swój sztandar trzyma. Na to jest wiele dowodów. Jeśli się widzi te gromady, co wchodzą do organizacyj, by swe młodzieńcze siły poświęcić bliźnim w imię Chrystusa, jeśli spojrzy się na ilość powstających organizacyj dla pogłębienia ducha Chrystusowego w społeczeństwie, organizacyj skupiających młodzież w imię służenia Polsce, wreszcie gdy uświadomimy sobie, że w rekolekcjach 7 000 młodzieńczych serc oczyściło się w Sakramencie pokuty i zasiliło Ciałem i Krwią Chrystusową — gdy tyle jest dowodów, że młodzież ku ołtarzom Pańskim idzie, to optymizm ogarnia człowieka.

Gdy ja — kapłan — po 18 godzinach spowiadania podczas rekolekcyj wyszedłem koło pierwszej w nocy z konfesjonału, te miast znużenia czułem wzniożenie, jakbym oddychał górskim powietrzem, bo oddychałem pięknem duszy młodzieńczej. Dla każdego Polaka taką jest dusza naszej młodzieży.

Ja, jako kapłan, pedagog chcę oświadczyć Polsce i światu całemu, że dusza młodzieży polskiej jest czysta i piękna — i najwyższą zbrodnią, oszczerstwem jest podchodzić do tej duszy bez zrozumienia. Dlaczego ja to mówię? — Bo wrogowie nasi boją się Polski przyszłej, wielkiej i potężnej“...

Warto jest przytoczyć te słowa, gdy młodzież akademicka tak szkalowana jest przez cały zjednoczony obóz żydowski...

ORGAN ŻYDOWSKI „NOWE SŁOWO” PRZESTRZEGA POLSKĘ przed konsekwencjami. Wszystkie państwa, które naraziły się Żydom, skończyły tragicznie. Przykładem — Rzym starożytny. „Gazeta Warszawska“ zapytuje, dlaczego nie mówi się o szczęściu tych państw, które były dobrodziejami Żydów, a więc o Polsce:

„Rządzący Rzecząpospolitą stan rycerski zniszczył własne mieszczaństwo, używając do tego Żydów, i zrobił dla nich tyle miejsca w Polsce, że zebrało ich się tu więcej, niż w całej pozostałej Europie razem. Mówiąc nawiasem, chyba dlatego odezwa warszawskiego senatu uniwersyteckiego wezwała młodzież polską do traktowania Żydów w duchu naszych tradycyj narodu rycerskiego. W następstwie szlachta sama popadła w zależność od nich. Już za drugiego Sasa nie zapadała na Sejmie żadna uchwała, której Żydzi nie chcieli.

Za tę „rycerskość“ Polska została nagrodzona... rozbiorem.

A potem szczęśliwe dzieje porozbiorowe... W jedynej części Polski, mającej trochę samoistności politycznej, w Królestwie Kongresowem, natychmiast po jego utworzeniu zaczyna się praca na rzecz praw dla Żydów. Patrjoci, ci najwięksi, jak Łukasiński, piszą broszury, tych praw żądające. Myśl społeczeństwa coraz przychylniej jest dla nich urabiana. Żydzi przyglądają się, jak Polska szczęśliwie krwawi się w powstaniu listopadowem, po którego upadku liczba ich w Królestwie podskakuje nagle o 2 proc. Praca na rzecz przyjaźni z nimi idzie dalej, w kraju i na emigracji. Jankiel gra na cymbałach... Dochodzimy szczęśliwie do chwil, poprzedzających nowe powstanie. W przededniu jego Polacy dostają trochę władzy w kraju. Korzystając z niej, przedewszystkiem przeprowadzają równouprawnienie Żydów. Potem znów Polska się krwawi i znów liczba Żydów szczęśliwie podskakuje o 2 proc. W popowstaniowem Królestwie harmonja polsko-żydowska jest wzorowa. Społeczeństwo polskie szczęśliwie pomnaża swą warstwę inteligentną Żydami, którzy wchodzą do niej ławą, dają mnóstwo działaczy nietylko w handlu, przemyśle i wolnych zawodach, ale i bogacą nasze życie duchowe swemi ideami, burząc przesądy, zwalczając obskurancki katolicyzm, szczepiąc rewolucję socjalną.

Jednocześnie tam, gdzie naród polski traci wszelkie prawa na swojej własnej ziemi, Żydzi starają się wzmocnić ten szczęśliwy, nowy porządek rzeczy: w Galicji uznają się za Żydów niemieckich (powracają do Polaków po r. 1867, gdy Polakom przyznano względną autonomję); w zaborze pruskim zostają „Niemcami“ i całą siłą popierają germanizację kraju; na Litwie i Rusi przestają mówić po polsku, i wszyscy, wznoszący się ponad chałat, zostają „Rosjanami“. Wreszcie, gdy i w Królestwie ostatnie resztki praw polskich zanikają, Żydzi szybko zaczynają deklarować, że nie chcą mieć z Polską nic wspólnego, prócz mieszkania w niej i rozpierania się w jej życiu gospodarczem. A liczba ich w tym kraju szczęśliwie ciągle rośnie: w początku XIX stulecia było ich 7 proc., w początku XX-go — już blisko 15 proc.

Jak można było pominąć tak świetny przykład szczęśliwego narodu, który nie chciał nic złego Żydom zrobić i który został za to sowicie nagrodzony!“..

PIĘTNASTA ROCZNICA ŚMIERCI HENRYKA SIENKIEWICZA (zm. 15 listopada 1916 r. w Vevey) zastaje Polskę zakłopotaną ciężkiemi zagadnieniami bytu. Nie stać nas na skupienie należyto uwagi, gdy chodzi o sprawy idealnej natury. Pamiętamy doskonale, jakim ciosem była dla nas wiadomość o śmierci Sienkiewicza. Była wtedy wojna, wstrząsały ziemią gromy, ale ten grom był najbardziej przejmujący. Bo gdy po wojennych mrokach spodziewaliśmy się nastania zorzy, to żałoba po Sienkiewiczu była finałem radosnej świadomości, że mamy poetę.

Darmo wyrzucać sobie, że zaniedbaliśmy zrobić wszystkiego, cośmy winni pamięci wielkiego pisarza. Stolica, w której tworzył Sienkiewicz, nie ozdobiła się dotąd żadnym jego pomnikiem. Literatura nie zdobyła się na pomnik w postaci monografji. Nie mamy nawet zupełnego wydania jego pism, a cóż dopiero mówić o edycji popularnej. Na wszystko przyjdzie czas, gdy zapewnione jest współżycie ze zmarłym na długie wieki. Zbłądził pod strzechy, dzieci nasze uczą się go w szkołach na pamięć. Sienkiewicz ma więcej niż pomnik, bo życie pośmiertne, pełne chwały.

Troską naszą większą jest, aby ta wyżyna kultury pisarskiej, którą zdobył Sienkiewicz, nie była kurhanem odosobnionym, aby duch jego nie błąkał się „w pustyni i puszczy“. Najlepszem uczczeniem jego pamięci jest wybitna praca nad podnoszeniem poziomu tej kultury aż do zrównania z temi punktami, które osiągnęły wyjątkowe jednostki. Talentu nie wyprzedzi ogół, ten poziom kultury, który umożliwiał Sienkiewiczowi np. swobodne operowanie wiedzą o Polsce, powinien być dzisiaj poziomem ogółu oświeconego.

Sienkiewicz miał wyobraźnię życia narodowego i wiedział, że wyprowadzić nas może na drogę ambitnej twórczości polskiej. świadomość dziejowa, nawiązująca nasze zabiegi do dziejów dawnych. Pracując nad tem uświadomieniem, stawiamy najgodniejszy swoim wieszczom pomnik. Tutaj bowiem plonuje ich posiew.

SIENKIEWICZ O ŻYDACH. Choć przyjaźnił się osobiście z garstką ludzi żydowskiego pochodzenia, jednakże filosemitą nigdy nie był. W jego pismach można znaleźć na to dowody. Każdy przecie pamięta choćby tę scenę z *„Quo vadis?*, kiedy to Żydzi za pośrednictwem Poppei podjudzają Nerona, by rozpoczął prześladowanie chrześcijan. Scena to bynajmniej nie wysnuta z fantazji, lecz oparta ściśle na materjałach historycznych, które zgodnie wskazują na Żydów jako na *„fontes persecutionum"* t. j. na podżegaczy i prowokatorów, wywołujących prześladowania ludności chrześcijańskiej.

Niemniej surowe sądy o Żydach można znaleźć i w korespondencji Sienkiewicza; nie od rzeczy będzie przytoczyć urywek z listu, pisanego do ś. p. prof. K. Morawskiego, a noszącego datę 15. VI. 1905 r. (podkreślenie samego autora):

„Co do żydków, zaczynają istotnie coraz bardziej stawać wszystkim kością w gardle i jeśli tak pójdzie dalej, to może przyjść na nich zła godzina, w której całe nagromadzone zarzewie zwróci się przeciw nim i w której spadnie im z głów znacznie większa od normalnej ilość łupieżu".

Tak pisał późniejszy autor „Wirów" w pamiętnym roku 1905, w okresie prowokacyj i najazdu litwackiego. Czy dziś, w piętnaście lat po śmierci Sienkiewicza słowa jego straciły na znaczeniu i aktualności?

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

We wzorowo prowadzonem „Wydawnictwie Instytutu Bałtyckiego" ukazał się w r. 1929 tom pierwszy dzieła „Polskie Pomorze". Tom ten poświęcony był ziemi i ludziom, to znaczy geografji i demografji Pomorza. Obecnie ukazał się tom II tego dzieła: „Polskie Pomorze. Przeszłość i kultura". Praca zbiorowa pod redakcją J. Borowika (Toruń 1931. str. 224 i X. 55 rycin. Cena 15 zł.). W przygotowaniu znajduje się tom III: Gospodarstwo.

Świeżo wydany tom zapełniony jest pracami naukowemi pierwszorzędnej wartości:

1) Stelmachowska Bożenna. Z przeszłości słowian północno-zachodnich (czasy przedhistoryczne).
2) Tymieniecki Kazimierz. Rola Pomorza we wczesnych dziejach Polski (do XV w.).
3) Konopczyński Wład. Historja polityczna Pomorza od pokoju Toruńskiego (1466).
4) Mańkowski Alfons. Odrodzenie narodowe na Pomorzu w XIX i XX w.
5) Znaniecki Florjan. Siły społeczne w walce o Pomorze.
6) Mocarski Zygmunt. Kultura umysłowa na Pomorzu.
7) Tenże Bibljografja kultury na Pomorzu.
8) Glemma Tadeusz. Dzieje djecezji chełmińskiej. Poczem skorowidz.

Książka wydana bardzo starannie na pięknym papierze przynosi zaszczyt Wydawnictwu Instytutu. Wciela ono Pomorze do systemu wiedzy i wyobraźni narodowej każdego Polaka. Dzieło o Pomorzu winno się znaleść w każdej bibljotece. (W.)

*

Zjawiskiem niezwykle charakterystycznem naszych czasów jest książka młodego Ryszarda Voelpela „Naokoło Świata". Nadesłał nam I tom pamiętnika pod tym tytułem, wydany w Bostonie nakładem „Przeglądu Tygodniowego" (str. 158).

Jest to pamiętnik rowerzysty-podróżnika, który w październiku wyjechał na rowerze bez grosza w kieszeni ze Lwowa i po siedmiu miesiącach do niego wrócił, zwiedziwszy: Rumunję, Bułgarję, Turcję, Grecję, Palestynę i Syrję. Tom drugi obejmie pewno inne wyprawy, w przedmowie bowiem autor wspomina o trzyletniej tułaczce naokoło świata.

Dziennik, prowadzony niemal z dnia na dzień, ma znaczenie dokumentu. Pisany bez pretensji literackiej, jest niemniej bardzo interesujący; porywa czytelnika na rower dzielnego wagabundy i każe mu dzielić z nim wszystkie przygody. Towarzystwo bardzo miłe, a podróż pouczająca. (W.)

*

W związku z 30-tą rocznicą założenia Domu Polskiego w Bielsku oraz 20-leciem śmierci ks. Stojałowskiego, Narodowa Spółka Wydawnicza w Bielsku wydała dwie bardzo aktualne broszury, napisane przez wybitnego działacza i znakomitego publicystę narodowego prof. Jana Zamorskiego. Broszury te mają znaczenie szkiców historycznych, które wszystkich zainteresują. Pierwsza z nich nosi tytuł: „Ksiądz Stanisław Stojałowski" (cena 1 zł.), druga — „Dom Polski w Bielsku" (40 gr.). Nabywać je można we wszystkich księgarniach, oraz w Spółce Wyd w Bielsku (ul. Blichowa 40) za uprzedniem nadesłaniem należności. Rozsprzedawcy otrzymają znaczny rabat.

*

Krakowski „Przegląd Współczesny" poświęcił dwa zeszyty (sierpień - wrzesień r. b.) sprawom Szwajcarji. Autorami umieszczonych tu prac są przeważnie sami szwajcarzy.

Po liście do redaktora „Przeglądu" p. ministra Motty i „Słowie wstępnem" prezydenta Calonder'a, idą następujące artykuły: W. Martin „Szwajcarja jako prawzór Ligi Narodów"; Gonzague de Reynold „Federalizm i Centralizm w Szwajcarji"; Max Rychner „Tradycja i życie Szwajcarji"; Biskup Marius Besson „O kilku przejawach katolicyzmu w Szwajcarji"; E. Choisy „Kościoły protestanckie Szwajcarji"; Ch. Gos „Alpy Szwajcarskie"; Liebman Hersch „Ludność Szwajcarji"; Albert Oeri „O kilku osobliwościach życia politycznego Szwajcarji"; F. Fleiner „Referendum i inicjatywa ludowa w Szwajcarji"; Claude de Pasynier „Sędzia Szwajcarski jako interpretator tekstu ustawy"; Schnyder de Wartensee „Banki w Szwajcarji"; H. Weilenmann „Pokój językowy w Szwajcarji"; Tadeusz Skowroński „Problem „mniejszościowy" w Szwajcarji"; Karol Weber „Polityczna prasa Szwajcarji"; Paul de Vallière „Armja Szwajcarska"; Jonas Frankel „Spitteler"; E. Kortodi „Życie duchowe niemieckiej Szwajcarji"; Ch. Clerc „Duch Szwajcarji francuskiej"; Giuseppe Zoppi „Szwajcarja włoska"; A. Zendralli „Włosi w Graubünden"; R. von Planta „Z dziejów retoromańskiego obszaru językowego"; R. Villi „Retoromanie w walce o język ojczysty"; Reto R. Bezzola „Literatura retoromańska"; Alfons Bronowski „Stosunki intelektualne polsko-szwajcarskie w ciągu wieków".

Treść, jak widzimy, nader obfita i ciekawa, obrazująca niemal całokształt życia Szwajcarji dzisiejszej. Trochę zawiele miejsca poświęcono sprawie djalektów retoromańskich (chociaż i to są sprawy bardzo ciekawe nawet dla nie specjalistów), natomiast pominięto niemal zupełnie tak ważną dziedzinę życia szwajcarskiego jak szkolnictwo wogóle, naukę uniwersytecką i t. p. Nieuwzględniono również dobroczynności publicznej; nie wiele też dowiadujemy się o przemyśle szwajcarskim, handlu, rolnictwie etc...

Są tu rzeczy opracowane gruntownie, ale też sporo zbyt feljetonowych. Artykuł np. o Spittelerze jest pełen przesady (autor określa „Prometeusza i Epimeteusza" Spittellera jako książkę „najszczytniejszą, jaką kiedykolwiek udało się stworzyć poecie").

Z tej „ankiety", poświęconej Szwajcarji, można wywnioskować mniej więcej to, co sam inicjator i organizator jej, prof. Wędkiewicz, zaobserwował w życiu Rzeczypospolitej Helweckiej. „Szwajcarzy wiedzą dobrze — powiada prof. Wędkiewicz („Od Redakcji") — że nie pozostaną nazawsze wyspą neutralną, obcą losom Europy, owszem, zdają sobie dobrze sprawę, że ocalą byt i dobrobyt tylko pod tym warunkiem, jeżeli uzgodnią chwalebne i pożyteczne tradycje własnego ustroju z wymogami chwili obecnej i z przekształcającą się strukturą reszty europejskiego kontynentu".

Jak Szwajcarzy zdają sobie z tego sprawę, o tem świadczyć może doskonała praca majora P. de Vallière'a o... „Armji Szwajcarskiej". (W. J.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W katalogach sowieckich w dziale literatury antyreligijnej spotkać można interesującą pozycję: E. Orzeszko: *„Wied'ma, pierieskaz powiesti. 1930"*. Jest to wydawnictwo państwowe, w znacznej ilości egzemplarzy — aż 165-u tysięcy! — rzucone na rynek. Niepozornych 65 stroniczek za 16 kopiejek. Mimo usilnych starań i zabiegów, nie można było książeczki tej otrzymać: jest w Warszawie niedostępna. Trzeba się tedy zadowolić informacją bibljografji sowieckiej, która przeznacza „Wiedźmę" *„dla małogramotnawo czitatiela"*; owa broszura — to zapewne streszczenie, odpowiednio (rzecz jasna) spreparowane, powieści Orzeszkowej p. t. „Dziurdzio-

wie". Notujemy tę osobliwość przedewszystkiem ze względu na autorkę „Chama": doczekała się niemałej karjery nasza znakomita pisarka-filantropka, która największym interesem swego życia nazwała kiedyś troskę o „biednego człowieka".

Jest to chyba niemała sensacja: Orzeszkowa w koszu antyreligijnej literatury, dla małopiśmiennego czytelnika, za jedne 16 kopiejek! Ową „Wiedźmę" włączyć chyba należy do szeregu licznych nieporozumień, jakie twórczość Orzeszkowej wywoływała „po tamtej stronie", na wschodzie. Niedawno A. Drogoszewski „Z korespondencji Elizy Orzeszkowej" ogłosił w „Pamiętniku Warszawskim" (1931, Nr. 7—9) ciekawe materjały do opinji żydów rosyjskich o autorce „Meira".

Nie o jednem można się przy tej sposobności zamyśleć! Kultura polska ma swoją piękną kartę w historji umysłowości rosyjskiej: elementy polskie w europeizacji Rosji wykazują źródłowe poszukiwania Brücknera, Janika i in. Przed rokiem Nowacki „Hosanna" 1930. Nr. 8 analizował wpływ polskiej muzyki liturgicznej na rosyjską, w artykule p. t. „Śpiew wielogłosowy w Rosji". Do dziejów wschodniej ekspansji myśli naszej i atrakcyjnej polskiej kultury, wraz z „Wiedźmą" Elizy Orzeszkowej przybywa oto humorystyczny szczegół, niebywałe *curiosum* obyczajowe. Czytaliśmy niedawno w publikacji Wandy Dobrowolskiej: „Bibljotekarstwo w Rosji Sowieckiej" („Przegląd Bibljoteczny" styczeń-marzec 1931), że w czytelnictwie sowieckiem z polskich autorów spotyka się bardzo rzadko: Żeromskiego, Sienkiewicza, Konopnicką, Kraszewskiego. Powiększa ten szereg Eliza Orzeszkowa.

W każdym razie dla historyka rzeczy i spraw polskich w Rosji szczegół przytoczony nie będzie chyba obojętny.

(T. M.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

WŚLAD za konkursem graficznym na temat sportowy w sztuce, urządził Instytut Propagandy Sztuki konkurs na dzieło malarskie o tejże treści. Plon tej drugiej imprezy został obecnie wystawiony u Baryczków i do pokazu dołączono nagrodzone poprzednio grafiki. Cały materjał przedstawia się obecnie publiczności; przebrany i przesiany, pojedzie następnie na Olimpjadę, by tam reprezentować Polskę w dziale sztuki. Załatwienie całej sprawy wziął Instytut na siebie i trzeba mu przyznać zasługę dobrej inicjatywy. Nas te konkursy powinny zainteresować z wielu względów i przed opisaniem samej wystawy chciałbym o tem pomówić. Życie posiada własny pęd i nie monża go zahamować, niepotrzebnym wysiłkiem staje się również popychanie tego, co się już toczy. Ale ta siła, jak nurt rzeki, może być skierowana w odpowiednie łożyska i wtenczas będzie rozumna i celowa. Takiem łożyskiem dla nurtu sztuki mogą się stać odpowiednio zorganizowane konkursy. Wiele rzeczy dziś idzie po linji najmniejszego oporu. Artyści wybierają pewne tematy i tkwią uporczywie przy nich z racyj, do których niezbyt miło byłoby się przyznać. W pogoni za współczesnością, chwytają się jej pozorów, twierdząc, iż to ona sama. Babrają się w smakołykach techniki, gromadzą rekwizyty współczesności, lecz jej duch im się wymyka. Nowe warunki stwarzają nowe życie — artysta współczesny w swem dziele winien ujawnić postawę, jaką zajmuje wobec odmiennej rzeczywistości. Lecz oni widzą tylko koniec swego nosa, współczesność pojmują jako aktualność i w końcu styl ich się staje stylem utworów z teatrzyków rewjowych. Nad doniosłemi wydarzeniami, nad zjawiskami rozrastającemi się do czynników, kształtujących naszą epokę, przechodzą do porządku dziennego, odwracają się od życia i nic dziwnego, że ono odwzajemnia się im tem samem. Odwraca się od nich i publiczność, gdyż nie dają jej odpowiedzi na kwestje najbardziej interesujące. Chełpią się, iż odrzucili kokietującą nas anegdotę (temat) i wznoszą się w regjony, gdzie królują już tylko zagadnienia czystej formy. Ślicznie się wyrażacie, lecz na Boga chcielibyśmy wiedzieć co nieco, o czem właściwie mowa. Fałszywi chwalcy współczesności, gardłujecie za nią, a skoro zdarzy się okazja, a nawet gratka — bo przecież jest nią chyba dla malarza „współczesnego" konkurs na temat sportowy z n a g r o d a m i — to się wymigujecie, jak tylko można i... nie można. Pod tym względem wystawa u Baryczków jest niezmiernie pożyteczna i pouczająca, gdyż ukazuje wszem wobec, jasno jak na dłoni, stosunek naszych artystów do pewnych dziedzin życia. Poza pozyskaniem paru dzieł naprawdę wartościowych, ta druga, może mimowolna, zasługa inicjatorów konkursu nieobojętną się staje dla umiejących z faktów wyciągać wnioski natury ogólniejszej.

Ruch i wysiłek, te najbardziej istotne właściwości sportu, dadzą się doskonale wyrazić mową plastyka i one to, przedewszystkiem, winny być treścią obrazu. Można pozatem przesycić dzieło atmosferą danego sportu, nastrojem, jaki on wytwarza, przez ukazanie środowiska, w którem się odbywa i suggestywność wszystkiego, co się z nim łączy (np. obraz Rafała Malczewskiego). Mniemam wreszcie, iż tężyzna samego dzieła, siła zeń bijąca, przyczyniają się walnie do spotęgowania wrażenia.

A co widzimy na wystawie? Oto np. dama w amazonce pozuje grzecznie do portretu; zmienić jej suknię i już po „sporcie". Oto dwuch panów: jeden siedzi, drugi stoi, pozatem jest jeszcze wiosło; aha, to wioślarstwo. Znużona paniusia prezentuje nam swą postać na tle krajobrazu zimowego: w ręku trzyma nartę, — a więc sprawiedliwości stało się zadość. I tak dalej. Autorzy podobnych malowideł myślą zapewne, że sport to człowiek *plus* pewne utensylja.

Na tem tle dodatnio wyróżniają się obrazy nagrodzone: J. Umińskiej i R. Malczewskiego. Czarowny pejzaż M., o którym już wspomniałem, zawiera w sobie wszystek urok narciarstwa. Umińska w „Boksie" przeprowadza poważne zadanie kolorystyczne i kompozycyjne. Zagadnienia formy, traktowanej dość naturalistycznie, mniejszą odgrywają tu rolę. W tej samej salce, ślicznie skomponowanej jako całość, znajdują się rzeźby. Rzeźba, w porównaniu z malarstwem, w odtwarzaniu tematów sportowych, nie ma tak szerokich możliwości. Nie może się oderwać od podstawy (a więc ograniczenia w wyobrażaniu ruchu), nie może również wyobrażać terenu. Z tych względów wiele b. kuszących koncepcyj odpada. Zgromadzone prace rzeźbiarskie naogół przedstawiają się kulturalniej, niż dzieła malarskie. Poziom ich jest bardziej dociągnięty. Niema tu jednak rzeczy silnej w wyrazie.

Nagrodzone zostały prace Karnego, Strynkiewicza i Kenara.

Do wystawy jeszcze powrócimy, po wydaniu katalogu. Mimo skreślonych na początku pesymistycznych uwag, mamy nadzieję, że plon tak skromnie przedstawia się, bo jest dopiero początkiem. Że artyści, jeżeli nie teraz, to w najbliższej przyszłości powrócą jeszcze do tego tematu, jedni z pobudek materjalnych (ewentualna nagroda), drudzy przez ambicję artystyczną, a jeszcze inni dlatego może, aby Polska najlepiej była reprezentowana na Olim-

pjadzie, w dziale sztuki. Między nimi znajdą się zapewne nasi najwięksi.

Instytutowi proponuję, aby następny konkurs ogłosił na temat: praca.

WIKTOR PODOSKI

*

Adam Rychtarski, uczeń i przyjaciel Krzyżanowskiego, a następnie profesor szkoły jego imienia, urządził w Zachęcie zbiorową wystawę swych prac. Wystawa zawiera wiele dzieł wartościowych. Napiszę o niej w następnym numerze.

W. P.

TEATR

TEATRY RUSZYŁY

TEATRY w Warszawie ruszyły po dłuższym postoju. Pierwszy doszedł do ładu ze związkiem aktorów teatr prywatny p. Szyfmana. Pod jego dyrekcją czynne są teraz trzy teatry: Polski (komedja klasyczna),Mały (w Filharmonji), i na ul. Chłodnej (teatr popularny). Teatr Polski poszedł przebojem w zabagniony przez rewolucję aktorów teren i — trzeba przyznać — znalazł odrazu właściwą drogę: wystawił mianowicie „Romea i Julję" Szekspira. Trafił na twardy grunt.

Kierownicy teatrów mieli czas namyśleć się nad sytuacją. Ofensywa na publiczność kabaretową zawiodła, nie pozostało teatrom dramatycznym nic innego, jak wycofać się na pozycję właściwą powodzeniu prawdziwej sztuki. „Romeo i Julja" w teatrze Polskim są dowodem słuszności tego wniosku. Publiczność dąży na przedstawienie z ochotą i z zadowoleniem spędza wieczór w atmosferze prawdziwej sztuki. Przyczynia się do tego staranne wystawienie przy nowej obsadzie siłami młodemi. Gorący poklask zyskuje utalentowana p. Lubieńska w roli Julji.

W teatrze na Chłodnej wystawiono bardzo poprawnie „Świerszcza za kominem" Dickensa. Sztuka ta nigdy nie traci na świeżości.

Teatry miejskie (Narodowy i Letni) oddane zostały w dzierżawę prezesowi związku pisarzy dramatycznych, p. Stefanowi Krzywoszewskiemu. Do pomocy mu stanęli Ludwik Solski i dawny reżyser Charberski. W d. 13 bm. odbyło się pierwsze przedstawienie w teatrze Narodowym („Sztuba", K. Leczyckiego), nazajutrz zaś w teatrze Letnim („Kłopoty Bourrachon'a" komedja L. Doilleb'a).

„SZTUBA" K. LECZYCKIEGO

PAN Kazimierz Leczycki, którego utworem dramatycznym „Sztubą" otwarto sezon w teatrze Narodowym, znany już jest w literaturze jako powieściopisarz. Jest to młody dziennikarz z Wilna, przed kilku laty ukończył tam uniwersytet. Wcześnie zaczął przeżywać zagadnienia społeczne, jeszcze będąc w szkole przypatrywał się tej instytucji krytycznie i głęboko brał do serca jej zagadnienia. „Sztuba", utwór dramatyczny w 3 aktach, wykwitła z jego troski obywatelskiej, ze świeżych doświadczeń osobistych i rozmyślań publicystycznych. Nie tak dawno zdarzył się w Wilnie wypadek morderstwa, dokonanego na nauczycielu przez ucznia. Każdy taki wypadek jest dramatem. Dość go zanalizować, aby stanął w czas splot warunków, determinujących taki czyn. Wyobraźnia dramaturga wyjaskrawia go przez współczucie i żeby go utypowić artystycznie, sięgazpo argumenty krytyczne do środowiska.

Leczycki musiał tedy sięgnąć w dziedzinę metod wychowania. Sztuce więc przyświeca ideologja pedagogiczna, jest ona traktatem o wychowaniu, ilustrowanym przygodami ucznia Stebelskiego w szkole powiatowej (koedukacyjnej) gdzieś na kresach wschodnich. Autor chciał dowieść, że szkoła starego typu, traktująca uczniów schematycznie, niszczy indywindualności, ale ostatecznie nie wypowiada jej wojny, uczciwość bowiem każe mu przyznać, że oba typy wychowania szkolnego mają swoją rację. Przykład Stebelskiege nikogoby nie przeraził — autor musiał to spostrzec. Stebelski jest psychopatą; dla takich histeryków nie warto żadnego systemu szkolnego nałamywać.

Indywidualnie historja tego chłopca jest istotnie dramatyczna, ale autor odsunął ją na plan dalszy dla tezy, mającej dowieść, że wogóle życie szkoły jest dramatem dla wychowawców. Teza dobrze znana, związana z wielu zagadnieniami, nad któremi wiecznie się głowią reformatorzy wychowania. W Polsce, która wie dobrze, jakie ma braki w kulturze i jak bardzo uzależniona jest jej przyszłość od dobrej szkoły, troska o szkołę udziela się poetom i dramaturgom. Leczycki czuł się upoważnionym do ujęcia tego tematu przez Żeromskiego. Pisał z uczuciem, że schwytał „przepióreczkę", która tam wymknęła się szkole, jako zagadnieniu społecznemu. Inscenizowanie zaś życia szkolnego w ławkach na scenie znalazło szczęśliwe rozwiązanie w sztuce J. B. Hertza „Młody las". Powodzenie obu tych sztuk istotnie mogło zachęcić do prób dalszych.

Teatr Narodowy postąpił lojalnie wobec nowego talentu, że sztukę tę wystawił. Dochodziły o niej pochlebne wieści z Wilna, Krakowa i, zdaje się, Poznania, gdzie była już grana. Będzie i w stolicy miała powodzenie.

Reżyserował ją Solski, a grana jest bardzo ładnie. Trudną rolę nerwowego Stebelskiego grał Solski. Na czoło wysunęli się (dyrektor) Socha i (nauczycielka) Dulębianka, oraz (nauczyciel głuchy) Gawlikowski, Brydziński, Chmieliński, Wroncki, Ankwiczówka.

Sezon dobrze się zaczął. Z. W.

KŁOPOTY BOURRACHONA

TRZYAKTÓWKA Doilleta, wystawiona w teatrze Letnim, posiada doskonałą rolę dla Fertnera. Prawdopodobnie z tego przedewszystkiem powodu znalazła się na scenie, Pozatem zmajstrowana jest w sposób nader niewybredny, z oklepanych banałów, wedle recepty szablonowej. Gdyby nie Fertner, historyjka o rogatym aptekarzu, nad którą nie warto się zastanowić nawet przez trzy minuty, byłaby niemiłosiernie nudna. Dzięki znakomitemu komikowi przedstawienie jest zabawne. Sekundują mu dzielnie pp. Gronnicka. Hnydziński, Łuszczewski, Gella i Szymański.

ZAST.

NOWE KSIĄŻKI

Sienkiewicz Henryk. Pisma, w układzie Ign Chrzanowskiego. XXXVI. Gebethner i Wolff.

Księga Pamiątkowa Koła Płoczczan. Warsz. 1931. Nakładem Koła. Str. 320 i 14 ilustr.

Jan J. Fischer Pod żaglami. Geb. i Wolff.

Jerzy Brzęczkowski. Mroki. Powieść. z ilustr. M. Walentynowicza. Geb. i Wolff.

Juljusz Meissner. Rekord. Z ilustr. Horowicza Geb. i Wolff.

Stanisław Dzikowski. Egzotyczna Polska Z myśliwskiej włóczęgi. Geb i Wolff.

Pamiętnik Literacki Rocz. XXVIII. zeszyt 3.

Iwan Cankar. Nowele. Warsz. 1931. Dom Książki Polskiej.

Ludomił Czerniewski. Jan Matejko, nauczyciel narodu. Warsz 1931. Pol. Macierz Szkolna. Str. 60 i 15 plansz.

Przegląd Powszechny. Październik.

Kwartalnik Pedagogiczny. Październik.

Sopoćko Michał. Rodzina w prawodawstwie na ziemiach polskich. Studjum etyczno-prawne. Wilno 1926. Skład gł. w księg. Św. Wojciecha.

Demby Stefan. Bene merentes. Dobrze zasłużeni z ziemi Płockiej. Warsz. 1931. Odbitka z Księgi Pamiątk. Koła Płoczczan. Str. 34.

Krywoszejew Maciej. Likwidacja warszawskich teatrów miejskich w świetle cyfr. Warsz. 1931. str. 8.

OFENSYWA

ZAGRANICA O PROCESIE

O „MIEŚCIE NAD BUGIEM“ swego czasu pisała cała prasa tak europejska jak i amerykańska krócej lub dłużej...

Z głosów wybitniejszych publicystów światowych trzeba tu sobie przypomnieć zmarłego M. Gauvaina w „*Journal des Debats*“, Martina w „*Journal de Geneve*“, Boncoura, którego zbesztano za to mieszanie się w „Polsce Zbrojnej“ i w „Gazecie Polskiej“ („zuchwałość“, „ckliwa efronterja“) dalej René Pinona w „*Revue des deux Mondes*“, którego znów skrytykował za to w „otwartych listach“ pp. Meysztowicz z Kresów i senator Wielowieyski. Cały szereg pism francuskich, niemieckich, włoskich zamieścił artykuły, które z wiadomych względów nie nadawały się nawet do przetłumaczenia, jak np. artykuły Bluma, Rosenfelda i Vanderveldego w „*Populaire*“, jak artykuł Chautempsa w „*Revue Parlamentaire*“ (15 luty) lub w „*L'Oeuvre*“ „*Maladie de la Dictature*“ (28.I. 1931).

Tuż przed procesem poważny miesięcznik angielski „*Contemporary Review*“ zamieścił artykuł p. Gareth Jonesa, gdzie się czytało co następuje:

„Szereg wypadków ostatniego roku nie przyczynił się bynajmniej do wzmocnienia sytuacji przyjaciół Polski zagranicą. Traktowanie mniejszości (w Małopolsce Wschodniej) jest cenną bronią w ręku tych, którzy chcą zmienić jej granice. Metody postępowania w kraju obecnego regimu zraziły wielu najbardziej zapalonych przyjaciół Polski zagranicą. Sprawa brzeska, pacyfikacja Ukrainy, traktowanie Niemców podczas wyborów na G. Śląsku mogą być poważną groźbą dla powagi Polski“.

Kiedy proces się zaczął, ataki prasy zagranicznej na „metody postępowania w kraju obecnego regimu“ wzmogły się z dużą gwałtownością. Niektórym dziennikom niemieckim przerwano nawet dostęp do Polski. W tych, co do Warszawy doszły, jednak czytało się już dość mocne wywody. Organ kanclerza Brueninga, centrowa „*Germania*“ w depeszy pt.: „Brzeskie metody“ pisał:

„Proces brzeski, który sam dla siebie jest już niebywałą sensacją, pomijając nawet jego znaczenie historyczne, skłonił obecnie marszałka Piłsudskiego do przerwania swego pobytu w Rumunji i powrotu do Warszawy. Jaki obrót weźmie wobec tego sprawa procesu, — trudno jeszcze w tej chwili ustalić...“

Organ wpływowej finansjery niemieckiej „*Frankfurter Zeitung*“ wypowiedział się w ten sposób:

„Oświadczenia oskarżonych w procesie przywódców stronnictw opozycyjnych oświetlają polityczne położenie w Polsce z taką jasnością, jakiej od dnia ostatnich „wyborów Piłsudskiego“ nie może dać żadna debata parlamentarna“.

Tak głosy „*Vossische Zeitung*“ jak i „*Berliner Tageblatt*'u“ z pierwszych dni procesu nie kwalifikują się absolutnie do powtórzenia.

Z paryskiej prasy cytowano niedawno artykuł wstępny „*Temps*'a“ omawiający *exposé* p. ministra Zaleskiego, ale nic zwrócono uwagi dostatecznej na ten *passus* tego najuprzejmiejszego zawsze w stylizacji pisma:

„Rządy, ustanowione przez marszałka Piłsudskiego, mają w sobie równocześnie coś z dyktatury i coś z systemu konstytucyjnego i parlamentarnego. Można krytykować jego metody i sposoby działania. Nie odpowiadałby on niewątpliwie żadnemu innemu narodowi Europy (*Il ne conviendrait, sans doute, a aucun autre peuple d'Europe*“.

W numerze 25.634 tegoż pisma czytało się:

„Gdy p. Bagiński chciał mówić o swem aresztowaniu i o swym pobycie w twierdzy brzeskiej, przewodniczący odebrał mu głos. Oskarżony Mastek, który protestował hałaśliwie, musiał na wezwanie przewodniczącego opuścić salę. Obrona zwróciła się następnie do sędziów, protestując przeciw zakazowi, zjawiającemu się zawsze, ilekroć oskarżeni chcieli mówić o swym pobycie w Brześciu. „Oskarżeni, oświadczył adwokat Szurlej, chcą się bronić, zarzucając rządowi, że ich dręczył w Brześciu dla zemsty politycznej“. Po naradzie sąd postanowił, że oskarżeni nie będą mieli prawa w oświadczeniach swych mówić o zdarzeniach przy aresztowaniu i po niem“.

Tenżesam półoficjalny dziennik paryski przytoczył protest mecenasa Nowodworskiego przeciwko konfiskatom sprawozdań z procesu w dziennikach zamieszczanych, dużo miejsca poświęcił mowie prezesa Witosa podkreślając, że tenże był trzykrotnie prezesem Rady Ministrów, że tenże był prześladowany przez władze austrjackie za swe sympatje dla koalicji.

Poważny „*Journal des Debats*“ dwukrotnie więcej miejsca poświęcił procesowi brzeskiemu. Raz w nr. 300, co przetłumaczyć byłoby ryzykowne, a dalej w nr. 297 w uwadze do telegramu z Warszawy, gdzie się czytało:

„Mieliśmy sposobność zawiadomienia w styczniu rb. o ciężkich i niespornych zdarzeniach, które się rozegrały w więzieniu w Brześciu, gdzie oskarżeni politycy stali się ofiarami haniebnych sposobów postępowania (*procedés ignobles*), które wywołały słuszne oburzenie nie tylko w Polsce, ale także zagranicą. Trzeba pragnąć, nawet dla dobra samej Polski, aby rozprawa sądowa, która się zaczyna, nie dała sposobności do nowych skandalów (*a nouveaux scandales*). Metody, stosowane obecnie w Polsce, są tego rodzaju, że, trzeba to powiedzieć, muszą budzić niepokój wśród najlepszych przyjaciół tego kraju“.

Pomijamy tu dalej głosy pism skrajnie radykalnych *(Soir)* filogermańskich *(Volonté)* komunistycznych *L'Humani* lub socjalistycznych jak „Populaire“, gdzie raz po razu w najgwałtowniejszej formie wypowiadali się Blum, Rosenfeld, Vandervelde, którzy i nadal zapewne nie powstrzymają wyrazów współczucia i solidaryzowania się ideowym współtowarzyszom posł. Liebermana.

Ważny, bardzo ważny jest wreszcie głos paryskiej „*La Republique*“, w którym najważniejszy ustęp brzmiał następująco:

„nie na to miljony Francuzów pomagały i pomagają Polsce, ażeby w niej panowały metody brzeskie, i że w takim razie nie wiadomo, dlaczego Polacy upierają się przy swoich granicach, gdy w nich i tak niema ducha Polski“.

Ważny jest ten głos z tego powodu, że jest to organ potężnej grupy radykałów, wśród których są takie czołowe osobistości jak Herriot, Chautemps, Steeg, Dominique ale także i nam stale nie bardzo przyjaźni działacze tej grupy jak pp. Pierre Cot wyraźny rewizjonista, Jacques Keyser (siostrzeniec Dreyfusa), Daladier i poseł Bergery. Grupa ta niedawno odbyła swój 29-ty zjazd doroczny w Paryżu i wybory do władz partyjnych. Wprawdzie prezesem został nasz wypróbowany przyjaciel E. Herriot, ale pierwszym wiceprezesem zajadły rewizjonista p. Jacques Keyser. Mowy wygłoszone na zjeździe miały zabarwienie znacznie mniej doktrynerskie i radykalne, z czego wnosić należy, że partja zmierza do władzy i z bardzo umiarkowanym programem stanie do wyborów, jak wiadomo w kwietniu 1932 r. odbyć się mających.

Niedawno obiegły prasę pogłoski o zamierzonej rekonstrukcji gabinetu Lavala w kierunku wyeliminowania z rządu reprezentantów grupy L. Marina (prezesa towarzystwa przyjaciół Polski), a wciągnięcia do rządu właśnie tych radykałów, których organem jest „*La Republique*“. Na razie atoli grupa ta woli do wyborów pozostawać w opozycji, tembardziej, że w wyborach departamentalnych oni wszędzie zwyciężają. Rekonstrukcja kartelu lewicy nie jest już zatem w granicach mglistych marzeń i niemożliwości.

Jak zaś ta grupa odnosi się do obecnego procesu, to widzimy z artykułu „*La Republique*“ tu przytoczonego w minimalnej dawce.

Z artykułów zaś p. Keysera tak w tej samej *Republique* jak i w *Soir* omal żadnego ustępu przytoczyć by nie można.

Takie było nastawienie opinji publicznej w Europie przed wypadkami, jakie ostatnio u nas miały miejsce.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Kurjer Wileński“ (nr. 261), pragnąc usprawiedliwić mord, popełniony przez żydów, w ten sposób opisuje grozę położenia, w jakiem znaleźli się żydzi:

„Młodzież endecka posunęła się nawet tak dalece, że niektórych studentów wyrzucała na bruk przez okna i tylko dzięki dzielnej postawie policji, która łapała padających, nie pociągnęło to tragicznych dla wyrzucanych następstw“.

Jeżeli endeki machały tak żydów „przez okna“ dajmy na to — drugiego piętra, to istotnie trzeba było mieć „dzielną postawę“, aby ich „łapać w objęcia“.

Ale, ale. „Kur. Wil.“ niedawno zapewniał, że w uniwersytecie wileńskim niema już zgoła endeków. Skądże się wzięli teraz i „posuwają się tak dalece?...“

*

Niegdyś tworzyła się polska siła zbrojna pod hasłem „Będziem Polakami“; dziś walczy się w obronie hasła żydowskiego: „Precz z Polakami“.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.